



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Lilie i paprocie : książeczka dla serc kochających a szczególnie dla narzeczonych i nowożeńców, zawierająca zbiór pięknych wierszy, powiastki i opowiadania dla rozrywki wesołych kółek towarzyskich / zebrał Józef Chociszewski.

Liczba stron oryginału

100

Liczba plików skanów

100

Liczba plików publikacji

101

Sygnatura/numer zespołu

C I 034805

Data wydania oryginału

[1912]

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa
piśmienniczego on-line**



Fundusze Europejskie
Program Regionalny



Śląskie.

Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego





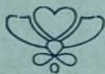
LILIE I PAPROCIE.



**Książeczka dla serc kochających
a szczególnie dla narzeczonych i nowożeńców
zawierająca
zbiór pięknych wierszy, powiastki i opowiada-
nia dla rozrywki wesołych kółek towarzyskich.**

WYDANIE DRUGIE.

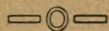
Zebrał **Józef Chociszewski.**



Nakładem EDWARDA FEITZINGERA
w CIESZYNIE



LILIE I PAPROCIE.



Książeczka dla serc kochających

a szczególnie

dla narzeczonych i nowożeńców,

zawierająca

zbiór pięknych wierszy, powiastki i opowiadania

- dla rozrywki wesołych kółek towarzyskich. -

WYDANIE DRUGIE.

Zebrał **Józef Chociszewski.**



Nakładem Edwarda Feitzingera w Cieszynie
(Wyższa brama).

884-13L



C. 10348051

C. i k. nadworna drukarnia Karola Prochaski w Cieszyńsku.



Przedmowa.

o o o o

Lilie i Paprocie“ są niejako dalszym ciągiem „Róż i Niezapominajek“, które znalazły dosyć przychylnie przyjęcie. I niniejsze dziełko pragnie uszlachetniać serca kochających i zachęcać młodzież, aby się pilnie starała o czystość i niewinność uczuć.

Lilia, o pięknym białym kielichu, już od niepamiętnych czasów jest godłem czystości, dlatego lilia zawsze i wszędzie przypomina każdemu młodzieńcowi, a szczególnie dziewicy, aby nie kazić serca brudną namiętnością, aby bez grzechu, bez utraty niewinności stanąć przed stopniami ołtarza na ślubnym kobiercu. Tylko wtedy wolno ci objawiać miłość dla ukochanej osoby, gdy są pewne widoki zawarcia ślubów małżeńskich, dlatego też, jeżeli młodzi ludzie czują miłość ku sobie, powinni się tylko widywać wobec rodziców, opiekunów, lub wogóle starszych osób.

Lilie mają zatem wielkie dla kochanków znaczenie, ale skąd się wzięły w napisie paprocie? Przecież one nie kwitną? Tak może niejeden i niejedna zapyta.

Istnieje jakiś związek między lilią a paprocią, o czym świadczy wiersz „Lilie i paprocie“, w niniejszem dziełku umieszczony. Są przecież inne ważniejsze powody, stawiające paproć obok lilii.

Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie paproć dziwny ma urok. Gdy widzę w lesie całe obszary, strojne zieloną paprocią, jakiś czar chwyta mnie za serce. Jest to zapewne odgłos wspomnień pierwszych lat młodości. Paproć jest tajemniczą rośliną i pełną poetycznego uroku, gdyż do niej przywiązane podanie, że zakwita raz w rok w wilię św. Jana, a kwiat jej nie tylko jest cudnie piękny, ale posiada także i wielką potęgę, gdyż kto go posiada, odkrywa skarby, ukryte w ziemi, a nawet przepowiada przyszłość.

Wielka i głęboka myśl w tem ludowem podaniu zawarta. Nie rozpraszać uczuć na wsze strony, nie oświadczać się osobie, którą znasz ledwie z widzenia, nie przyjmuj oświadczeń od mało ci znanych ludzi, wtedy i twoje uczucie będzie silne i cudne, niby czarodziejski kwiat paproci. Uczucie miłości i przyjaźni, rozciągnięte do większej liczby osób, słabnie. Rozrzucone promienie słoneczne grzeją, a przeci-

wnie palą, jeżeli się skupią w szkłe optycznem.

Złe duchy wszelkiemi siłami przeszkadzają zerwaniu kwiatu paproci w wilię św. Jana. Czyż i czysta miłość nie jest narażona na podobne przeszkody i pokusy? Pycha, lenistwo, pijaństwo i wogóle wszelkie grzechy, usiłują skalać czystą miłość błotem namiętności. Kto pokona pokusy, zakosztuje niebiańskiego wesela — kto zwalczy złych duchów najazdy, zerwie kwiat paproci.

Wiedną szybko kwiaty; paproć przez całą wiosnę, lato i jesień zachowuje czerstwą barwę zieleni. To ma nam przypominać, że i nasze uczucia powinny być zawsze trwałe i niezmiennie do grobu.

Paproć budzi nieraz tęskne uczucia. W ciepłych krajach wyrastają paprocie bardzo wysoko, ale gdy w jesieni uginają się drzewa pod ciężarem owoców, paprocie smutnie szeleszczą liśćmi, gdy są bezowocne. Paproć temu nie winna, gdyż taki porządek w przyrodzie, ale inaczej z ludźmi. Nie jeden młodzieniec, niejedna panna spędza płocho młodość, gardząc szczerem uczuciem, za to też, gdy przyjdzie jesień życia, smutna otwiera się dola, gdyż braknie szczerego serca, braknie rodziny.

Paproć przypomina jeszcze coś więcej. Cudownym kwiatem w życiu jest praca, połączona z oszczędnością — bez tego kwiatu niema szczęścia, niema miłości

i przyjaźni. Zatem paproć ma nawet głębsze znaczenie, aniżeli lilia, gdyż przypomina nam prawdy żywotne, na których się opiera szczęście społeczeństwa ludzkiego.

Dla tych powodów niniejsze dziełko, poświęcone dojrzałszej młodzieży, przybiera nazwę „Lilii i Paproci“. Idź w świat książeczko i przyczyniaj się do uszlachetniania uczucia miłości — uczucia, o którym powiedział nasz wielki filozof, Libelt, że

niema wyższej potęgi nad miłość.





Paproć.

Paproć zakwita podług podania ludu w wigilię św. Jana, a kwitnie tylko godzinę. Ktoby tego kwiecica dostał, ten ujrzy wszystkie skarby w ziemi, dowie się o wszystkim. Atoli bardzo trudno dostać kwiata paproci, gdyż złe duchy czynią wielkie przeszkody.

Żył dawnymi czasy w pewnej wsi gospodarz, mający starego ojca. Żona tego gospodarza była bardzo kłótniwa, a nade wszystko nie mogła wcale zgodzić się z ojcem męża. Wciąż mu dokuczała, biła nawet staruszką.

Stało się razu pewnego, że temu gospodarzowi zabłąkała się w lesie krowa. Na dworze było ciemno, wicher straszliwy dał przeraźliwie i deszcz padał rześisty, jednak owa niegodziwa kobieta wyгнаła

starego ojca, aby poszedł do lasu szukać zgubionej krowy. Szuka biedak i płacze gorzko na swą dolę, ale krowy jak niema, tak niema. W tem zakwitła paproć, gdyż była to właśnie wigilia św. Jana. Kwitnęła cudnie paproć, blask nadziemski rozsiewając. Poskoczy starzec, aby zerwać kwiat złocisty, ale kwiat spadł na ziemię i wsunął się w but biedakowi.

Wiedział on zaraz, gdzie krowa i widział w polu wielkie skarby. Zaprowadził czempredzej krowę do domu, a poszukawszy rydła poszedł w pole, aby skarby wykopać. Aby śladów nie poznano, postanowił przecież iść boso. Zezuł tedy buty, ale niestety wytrząsnął cudowne kwiecie i nie wiedział, gdzie skarby. Daremnie skopał całe pole — skarbów już nie znalazł.

Inne podanie o paproci.

Szło niegdyś przez las dwóch studentów. I stało się, że jeden drugiego postanowił zabić. Rzucił się więc z nożem na towarzysza i zaczął mu zadawać ciosy śmiertelne. Napadnięty prosił o zmiłowanie, ale czułe jego prośby nie zmięczyły zakamieniałego serca. — Po wielu ciosach rzekł umierający słabym głosem: „Bóg jest sprawiedliwym; — oto ta paproć cię wyda.“ To rzekłszy wyzionął ducha.

Rosło w tym lesie wiele paproci. Zabójca pochował głęboko w ziemi ciało nie-
szczęsnego towarzysza, a spojrzawszy na
paproć, zaśmiał się tylko, nie obawiając
się, aby paproć zbrodnię jego wydała.

Jakoś w rok zobaczył ów morderca
wielu ludzi, niosących wianki z paproci.
Wspomniał na słowa umierającego towa-
rzysza, mówiąc: „Jakże mnie ta paproć
ma wydać.“ I zaczął się śmiać z tego.
Śmiech atoli nie ustawał, morderca wciąż się
śmiał i to coraz bardziej. Wzbudziło to
podejrzenie, tak iż przytrzymano zbrodnia-
rza i tak długo nań nalegano, aż się przy-
znał do zbrodni. — Tak oto paproć go
wydała. — Pamiętajcie więc sobie, że żadna
zbrodnia się nie utai, a choćby się utaiła
przed ludźmi, to nie ukryje się przed Bo-
giem wszystko wiedzącym.



Lilia.

Gzem jest wśród ptaków gołąbka biała,
Czem wśród klejnotów perła z wód
łona,

Tem jest wśród kwiatów lilia wspaniała,
„Lilia strojniejsza od Salamona.“

Jej bujająca lekka łodyga,
Co jak powiewna łabędzia szyja,
Nad wszystkie kwiaty w niebo się wzbija,
Mlekiem nalany kielich jej dźwiga.

Gołębia święte znamiona strzegą;
On w arkę przyniósł gałąź oliwy;
Stokroć nadziejski, stokroć szczęśliwy,
Bo on jest godłem ducha świętego!

Perły to jasne to są zapewne
Łzy nieszczęśliwych, które anieli
W morzu, w muszlowych skrzynkach zam-
knęli

Aby tam wolne od wstrząśnień ładu,
W dowód tych cierpień błysnęły rzewnie.

Lecz czemuż lilia zawsze u ludzi,
Nad wszystkie kwiaty zebrane razem,
Więcej mistycznych uniesień budzi?
Czemu? bo ona nam świeci obrazem
Tej, co jest matką Boga-Dzieciątka;
Marya za kwiat swój lilię obrała;
W lilii nam błyszczy czysta i biała,
Kształtów jej duszy droga pamiątka!
Bo kiedy Maryę w ostatniej dobie,
W której rozstała się z światem,

Złożono w cichym i wonnym grobie,
Wkrótce zniknęły jej zwłoki. . . .
Duchy ją jasne w niebo uniosły!
Lecz dno grobowca w łonie opoki
Okryło się bujnym kwiatem. . . .
Na miejsce zwłok tych lilie wyrosły!
I odtąd lilii srebrzyste lica
Okrywa świętej czci tajemnica.

Deotyma.

Kwiat paproci.



W noc ciemną, w noc straszną,

Jak duchów gromady;

Przez pola Sobótek, płonące ogniami,

Szedł młodzian pospiesznie,

Cierpiący i blady!

Coś mówił tajemnie, coś groził rękami

I wzrokiem szalonym spoglądał w około,

I głową potrząsł lub na pierś ją składał,

I dłonią co chwila ocierał swe czoło,

Bo pot mu kroplisty perłami osiadał.

Szedł, biegął jak wichur, nadzieją pędzony,

Że uszczknie paproci zaklęte cud-kwiecie,

A z kwiatem i władzę i złote korony,

I szczęście i wszystkie dostatki na świecie.

Las huczy i szumi i pluszcze gdzieś
rzeka,

Puhacze i sowy skrzydłami się biją,

Zwierz wyje ze strachu i w góry ucieka,

Syczą gadziny, wśród trawy się wiją,

W najgęstszym zakątku, gdzie szemrzą
ruczaje,
Młodzieniec po trzykroć święconą wziął
krede

I koło skreśliwszy na środku w niem staje
I czeka bez trwogi na piekiel czeredę....

Lecz północ wybiła, a paproć nie kwitnie,
I obłok na niebie już widać czerwony;
Więc młodzian w rozpaczy dłoń skureczy
i zgrzytnie,

I pada na ziemię snem ciężkim zmożony.
Tu mgliste widziadła przed oczyma
skaczą:

Pies, olbrzym z łańcuchem i rogiem na
czole,

Tam straszne z paszczeką jak potwór pa-
chole,

I kruki ogniste, co dzióbną i kraczą,
I czarnych z pod ziemi postaci gromada,
I jęcza koścista, co pożreć go rada.

Wtem szmer się rozleciał z zarośli z
zagaju,

I srebrna piosenka jak flet się ozwała,
A woda w jeziorze i w małym ruczaju
Prysnęła i pianą w obłoki zawrzała.
Z bieluchnych kryształów wypłynię dzie-
wica

Nadobna jak róża wpleciona do wianka,
Że myślisz, wzrok topiąc w cudowne jej
lica,

Czy z Niebios nie stoi przed tobą posłanka.
Młodzieniec ją ujrzał i westchnął głęboko,
A ona w te słowa ozwie się do niego:

Rozwesel twarz chmurną, rozjaśnij twe oko,
Patrz, słuchaj i pojmuj, jam geniusz do-
brego!

Ty kwiatu paproci chcesz dostać na świecie,
A nie wiesz niebaczny, że kwiat ten jest
marą;

I choć cię los łamie, ty jednak z swą wiara
Przestajesz i żyjesz jak motyl, jak dziecko.
Ty nie wiesz snuć jeszcze,
Co szczęściem się zowie,

Więc słuchaj: myśl wolna bez trosk i go-
ryczy,

I umysł swobodny, i rzeźkość, i zdrowie,
I kilka choć kropel z kielicha słodczy,
Co w sercu wzajemnem raz tylko — raz
płyną.

I uścisk młodzieńca z kochaną dziewczyną,
I praca szlachetna, poczciwość i cnota,
Co świętym uczuciom otwiera swe wrota,
Co jasnym promieniem skroń zdobi i złoci,
Młodzieńcze! to szczęście — to kwiatek
paproci.

Fr. Gumowski.

Lilie wodne.

Taki spokój rozlany w naturze,
Niebo takie czyste i pogodne —
Na jeziora przejrzystym lazurze
Zakwitają blade lilie wodne;
Zakwitają i z schyloną twarzą
Za czemś tęsknią i gonią i marzą.

Sierp księżyca przegląda błyszczący
Przez nadbrzeżne sitowia i trzciny,
Łódka płynie po fali mileżącej —
Na niej chłopiec patrzy w twarz dziew-

czyny,
A ta główkę rozmarzoną skłania,
Czyniąc jemu dziwne zapytania:

„O czym marzą owe lilie smutne,
Zatopione w podwójnym błękiecie?
Czy jak duchy jeziora pokutne
W śnie kwiecistym nowe biorą życie,
Gdzie je znowu w jasny wieniec wpłata
Idealna twórcza piękność świata?

Czy też może służyć za dyadem
Utopionej w jeziorze dziewicy?
Albo tylko są odbiciem błędem
Ludzkich tęsknot wiecznej tajemnicy,
I dlatego sen życia je pieści
Echem naszych pragnień i boleści.

Ty się pytasz, mój biały aniele,
O czym marzą owe kwiaty senne?
W naszych piersiach kwitnie uczuć wiele,
A nie wiemy gdzie biegną promienne,
I związani ze ziemią łańcuchem
Nie nie wiemy, gdzie płyniemy duchem.

Wiemy tylko, że w ciągłej pogoni
Za tą marą piękności bezwzględna
Rozsiewamy kwiaty pełne woni,
Które kwitną chwil kilka i więdną;
Ale w każdym w krótkiej trwania dobie
Zostawiamy jakąś myśl po sobie!“

„Jabym chciała — dziewczę się ozwało —
Mój sen życia powstrzymać w swym
biegu

I zakwitnąć taką lilią białą
Pełną woni na jeziora brzegu;
I nie ponieść żadnej serca straty,
Lecz tak zwieć, jako więdną kwiaty.

Ja się lękam w ciemną przyszłość płynąć
I utracić rajszych marzeń jasność;
Wolę raczej w chwili szczęścia zginąć
I twą miłość wziąć z sobą na własność,
I być pewną: że się nic nie zmieni
W blasku naszych wewnętrznych pro-
mieni!“

„Niech cię przyszłość, najdroższa, nie
straszy,“

Odparł młodzian, topiąc wzrok w błę-
kicie,

„Myśmy naprzód już w miłości naszej
Zaczerpnęli nieśmiertelne życie,
I możemy iść dalej bezpieczni,
Że się sen nasz za światem uwieczni.“

Los nas może na zawsze rozłączyć,
Wyszukiwać męczarnie najrzadsze,
Może w serca truciznę nam sączyć —
Tych chwil szczęścia on jednak nie zatrze!
I zostawim nad swoją mogiłą,
Co nam spójnią nieśmiertelną było.

Może także nad tonią błękitną,
Tu, gdzie teraz rozmawiamy z sobą,

Takie lilie znów po nas wykwitną,
Naszych losów owiane żałobą,
I w niebiosa patrząc się pogodne,
Będą o nas marzyć lilie wodne!“

El...y.

Sawitri.

(Powiastka indyjska z „Mahabaraty“.)

I.

Za dawnych, dawnych czasów żył w mieście Madras księżę nazwiskiem Aswapati, który dla cnót swych od wszystkich swych poddanych był czczony i kochany. — Pobożność jego i dobroć sławiono powszechnie, ktokolwiek u stóp jego tronu składał swe prośby, mógł być przekonany o ich spełnieniu. Pod jego berłem zakwitło szczęście i dobrobyt; trwałym i niczem nie zamięconym spokojem cieszyły się wszystkie dzielnice rozległego państwa. Nie dziw więc, że imię króla wymawiał każdy z czcią i poważaniem, że widziano w nim najlepszego ze wszystkich królów ziemi. —

Mimo to, że widok szczęścia, spowodowanego cnotami swemi, napełniał radością serca dobrego księcia, nie był on jednak szczęśliwym. Już bowiem skroń jego poczyniała blednąć pod wpływem lat, a zawsze jeszcze wyglądał on daremnie, ażeby go bogowie obdarzyli potomkiem. Żeby wyprosić tę wielką łaskę sobie, ślubował bogom surowe posty i inne umartwienia, a Sawitri,

bogini słońca, nader hojne odbierała od niego ofiary. — Przez lat szesnaście żył on tak, modląc się i poszcząc, aż wreszcie nieba się zlitowały nad nim. Sawitri sama ukazała mu się w pełnym blasku nadziejskim i tak doń rzekła: „Książę Madrasu! z upodobaniem patrzałam na gorliwość, jakąś okazał w mej służbie; wyproś sobie łaskę, a ja ci ją spełnię, skoro nie będziesz życzył sobie czegoś nie zgadzającego się z obowiązkami twymi.“

Aswapati odpowiedział: „Cna bogini! ponosiłem umartwienia wielorakie, żeby sobie przez to uprosić potomków: Chceszli więc wyświadczyć mi łaskę, otóż racz spełnić to najgorętsze me życzenie.“

„Życzenie twe, rzekła bogini, od dawna mi jest znanem i za mojem pośrednictwem obiecał ci Brahma hożą dziewczkę, którą niezadługo będziesz się cieszył. Niech ci ta łaska wystarczy; ja zaś cieszę się, że mi było dozwolonem, oznajmić ci wolę Brahmy.“

(Mahabharata, olbrzymich obszarów epopeja indyjska (liczy przeszło 100.000 wierszy) opiewa zaciętą walkę dwu plemion bohaterskich o tron Histanapury. Ogromny ten utwór powstał prawdopodobnie na prawdziwym zdarzeniu. Indowie zaliczają go do swych świętych ksiąg, na co w rzeczy samej z wielu powodów zasługuje. Drobnny epizod, odznaczający się nader piękną treścią, podajemy niniejszem w wolnym przekładzie.)

* * *

Radość nieskończona ogarnęła króla, kiedy usłyszał te słowa — prosił tylko jeszcze, żeby jak najprędzej się spełniły.

Życzeniom jego stało się zadość. Jeszcze nie minął rok, kiedy Walawy, do- stojna jego małżonka, powiła córeczkę nad- ziemskiej piękności. Uradowany ojciec dał jej imię Sawitri i to na cześć bogini, która mu ją była wyprosiła.

Rok szedł za rokiem, a mała Sawitri wyrosła na dziewczę przecudnej urody. Kto ją spostrzegł, utrzymywał, że widzi przed sobą istotę boską, a kto ją znał, szanował ją jak bóstwo. Blask jej nadzwyczajnych za- let i sława jej cnót były tak wielkie, że żaden z sąsiednich królewiczów nie odwa- żył się, prosić o jej rękę. Pewnego poranku, złożywszy bogom przepisaną ofiarę, udała się do ojca, żeby przynieść mu kwiaty z pozostałej ofiary. Ten zaś, kiedy ujrział hożą córkę swą, pomyślał sobie, że żaden z książąt dotąd o nią nie prosił, posmu- tniał i rzekł:

„Córko ma, bogowie doprowadzili cię do lat, w których powinnaś godnemu mę- żowi oddać swą rękę, że zaś nikt dotych- czas o nią się nie starał, więc obierz sama sobie małżonka, któryby był ciębie godnym. Obieraj podług własnej woli i oznajmij mi wtenczas, na kogo padł wybór. Wszak w księgach świętych są zawarte te słowa:

„Ganię ojca, co nie szuka męża,
Córki swej godnego,
Również ostro ganię męża,
Swej małżonce niewiernego,
Zasię niemniej ganię syna,
Co po ojca swego śmierci,
Matki, męża pozbawionej,
Czułą pieczę nie otacza.“

„Dlatego, córko ma, idź i wybieraj
sobie małżonka, ażeby na mnie nie spadła
niełaska bogów.“

Tak mówił król, a jego radcy pochwalili jego mowę; więc rychło wybrano orszak, mający księżniczce towarzyszyć, a Sawitri, pożegnawszy się z ojcem, wstąpiła na złoty powóz i udała się otoczona dostojnymi radcami do świętego gaju, ażeby oddać cześć świątobliwym starcom i uprosić sobie od nich błogosławieństwo na dalszą podróż.

II.

Dłuższy czas minął od wyjazdu młodej księżniczki, kiedy dnia pewnego siedział jej ojciec przed pałacem swym i rozmawiał z Naradą, posłańcem bogów i wielkim wieszczem, który co dopiero był przybył. Kiedy tak rozmawiali ze sobą, stanęła niespodzianie Sawitri z towarzyszymi swymi przed pałacem. Kornie skłoniła się do stóp ojca i wieszcza Narady, który na widok jej tak się odezwał:

„Powiedz mi, o Aswapati, skąd to powraca córka twa i czemu nie szukasz jej małżonka, wszak jest dorosłą?”

Król odpowiedział: „Właśnie dlatego wysłałem ją; teraz wróciwszy z podróży, niech sama nam powie, kogo za małżonka obrała.”

Sawitri rzekła: „Był w państwie Salwa król, pobożny i mądry, nazwa jego Dżumatsena. Na starość postradał on światło ocz i został stąd przez złego sąsiada wyparty z własnego państwa. Wszyscy go odstąpili, tylko z żoną i z młodym swym synem opuścił on miasto i udał się do wielkiego boru, gdzie razem z rodziną swą świątobliwe prowadzi życie. Imię syna jego jest Satjawan, a ten ci jest, któremu obrała sobie za małżonka.”

Ledwie to wyrzekła, podniósł się Narada, i zawołał: „Biada! biada, królu tobie, córka twa popełniła wielki błąd, że nie wiedząc nic o stosunkach młodzieńca, właśnie tego obrała za męża. Jego ojciec mówi zawsze prawdę, tak samo i matka, stąd nazywa się Satjawan. — Już za młodu kochał konie, z gliny tworzył sobie konie, te malował różnemi farbami, stąd przydomek jego jest Czytraśwa, t. j. Pstrokoń.”

Aswapati przerwał mowę wieszczą:

„Powiedz mi Narada! czy posiada on rozum, czy jest łagodny a jednak silny i dzielny?”

„Słońcu wyrówna on blaskiem — odpowiedział wieszcz — (Brihaspateum¹) mądrością, dzielnością wielkiemu Indrze, a ziemi łagodnością.“

„A czy on jest miłosiernym, pobożnym, prawdomownym, szlachetnym“ — pytał księżę dalej — „czy jego postać okazała, piękna?“

„Jedynak (Bantijdewa²) ów, dobry księżę, oddaje chętnie co ma i może; pobożnym jest i prawdomownym, jak Siwa. Szlachetność jego jest niezrównaną a jego widok śliczny jak widok księżycy w swym blasku.“

„Podług opisu twego, wielki bogów posłańcze, jest on bogaty w cnoty, zaś teraz racz mi wymienić wady, któreby go szpeciły.“

„Ma on tylko jedną wadę,“ — odpowiedział Narada, — „i to tę, że od dziś za rok będzie musiał umierać.“

Kiedy to król usłyszał, rzekł litością zdjęty do córki swej: „Sawitri, dziecko me, poszukaj sobie małżonka innego; mąż, któregoś obrała, umrze w przeciągu roku.“

Ale Sawitri rzekła: „Postanowienie moje jest nieodmiennem. Czy długo będzie żył wybrany mój, czy krótko, niczego to nie zmienia: jego obrałam i jego trzymać się będę.“

¹) Znaczy Pan światła.

²) Bantijdewa był tak szczodrobliwym, że z krwi bydląt, które dla gości swych ubić kazał, powstała rzeka.

Wieszcz Narada, widząc tę stałość księżniczki, radził ojcu jej, żeby ze względu na zalety obranego skłonił się do wyboru córki.

Król usłuchał rady wieszca i zgodził się na wszystko, Narada zaś powiedział: „Więc życzę, żeby gody córki twej odbyły się bez przeszkody — błogosławię jej. Teraz zaś muszę was opuścić. Szczęście i błogosławieństwo niech będzie zawsze z wami.“

To rzekłszy, uniósł się posłaniec bogów ku niebu i znikł przed oczyma śmiertelników. Król zaś kazał wszystko przysposobić, żeby gody swej córki odbyć z wielką okazałością.

III.

Skoro pokończono wszystkie przygotowania, wybrał się król z córką, otoczony radcami i braminami w podróż. Przybywszy do boru królewskiego pustelnika, zstąpił król z powozu i udał się pieszo do cichego schronienia pustelniczego, gdzie z uszanowaniem pozdrowił ślepego księcia, oddając mu zarazem córkę swą. Początkowo zdrygał się Dżumatsena, przyjać w ubogie progi swe dziewicę godną wszystkich rozkoszy, która szczęście może zgotować ulubieńcom swym.“ Lecz kiedy się przekonał, że taka była stanowcza wola ojca i córki, zezwolił uradowany na ów pomyślny związek. Niebawem też odbyto

gody, a Aswapati, poleciwszy uroczystemi słowy córkę swą młodemu małżonkowi, powrócił do swej stolicy.

Szczęście i radość rozgościły się w samotnej chatce leśnej, bo niezwykle cnoty nowo zaślubionej Sawitri napełniały rozkoszą wszystkie umysły. Rodzicom małżonka swego sprawiała różne wygody, a nade wszystko starała się, szczęściem i wesolością napełnić Satjawana. Zaś w własnym jej sercu ciężki mieszkiał kłopot, z powodu słowa złowrogiego, które Narada był wyrzekł.

I coraz to więcej zbliżał się dzień, w którym ukochany małżonek miał ją opuścić. Z trwogą i smutkiem liczyła Sawitri dni, aż nareszcie już tylko cztery pozostały. Wtedy ślubowała bogom, pościć przez trzy dni i stać nieruchomie przez trzy noce, i mimo odradzań starego Dżumatseny, spełniła ten ślub. — Najcięższą jej się wydała trzecia noc, kiedy wspomniała, że w dniu następnym małżonek stanie się ofiarą śmierci. Ze wschodem słońca ukazał się Satjawan z toporem na ramieniu, by w borze ścinać drzewa. Trwogą zdjęta postanowiła Sawitri towarzyszyć mu. I chociaż długo nie chciał się małżonek zgodzić na jej życzenie, przemogły nareszcie usilne jej prośby. Odebrawszy zezwolenie od rodziców, udali się razem w głąb boru. — Las błyszczał świeżą zielenią liści i kwieciami różnobarwnem; na gałązkach śpiewały po-

mniejsze ptaszęta a zdala dawał się słyszeć głos tęczopiórego pawia. — Na wszystkie te cuda zwracał Satjawan uwagę swej małżonki, lecz ona nic nie widziała i nie słyszała zajęta okropną myślą, że może za kilka godzin już będzie pozbawioną ukochanego męża.

IV.

Wesoło i rączo wziął się tymczasem Satjawan do dzieła. Nasamprzód nappełnił owocami koszyk, który był przyniósł ze sobą, poczem wziął się do ścinania drzewa. Ale nie długo pracował, kiedy naraz uczuł gwałtowny ból głowy i wielkie znużenie po wszystkich członkach. Bez zwłoki pospieszył do małżonki swej i opowiedział jej, co się z nim stało. Ona zaś ująwszy czule głowę jego złożyła ją na swem łonie, a kiedy zwolna zawarły się powieki, wyrzekła cicho, drżącym głosem: „Biada mi, biada, otóż straszna chwila nadeszła.“ Ledwo słów tych domówiła, spostrzegła tuż przed sobą męża, pokrytego czerwoną błyszczącą szatą; płeć jego była ciemna a oczy pałały dzikim, krwawym blaskiem. W rękę trzymał powróż a dzikie spojrzenie skierował na leżącego przed nim Satjawana. Skoro Sawitri ujrzała to widmo, rzekła przerażona:

„Z pewnością widzę Boga przed sobą: o, powiedz mi, ktoś ty jest i jakie masz

zamiary?" Jama zaś, bóg śmierci — bo to on był onem widmem, odpowiedział:

„Córko królów! jam jest bogiem śmierci; życie małżonka twego ubiegło, a ja sam przyszedłem, żeby ducha jego spętać i zabrać ze sobą.“ — I nie czekając odpowiedzi wyrwał ducha z ciała Satjawana — i gotował się do powrotu. Blade i martwe ciało młodego księcia padło na ziemię, Sawitri bowiem się podniosła, żeby pójść za duchem męża swego. Jama zaś, poznawszy zamiar jej, kazał jej powrócić do rodziców, lecz ona oświadczyła stanowczo, że ani krok nie odstąpi ducha swego małżonka; oraz prosiła Boga czułem słowa, żeby jej nie odmawiał tej prośby.

Wzruszony prośbami zasmuconej wdowy, rzekł Jama: „Wyproś sobie łaskę, a spełnię ci ją, tylko nie proś o życie małżonka twego.“

Wtedy prosiła Sawitri, żeby stary Dżumatsena odzyskał światło oczu. Jama przyrzekł jej spełnienie tej prośby i wzywał na nowo, żeby powróciła. Ale Sawitri nie dała się zbić z toru.

„Wielki Boże,“ prosiła dalej, „otóż kiedy dobrzy ludzie się połączą, natenczas życzą sobie złączenia dłuższego, o nie zrywaj tego pięknego, pobożnego związku naszego.“

„Pięknieś mówiła,“ odrzekł bóg śmierci, „więc niech ci jeszcze i druga łaska zostanie udzieloną, prócz życia twego małżonka.“

„Wtenczas, o Boże potężny, zwróć teściowi memu jego państwo, które zły sąsiad gwałtem mu wydarł.“ I tę prośbę obiecał Jama wypełnić, wzywając ją do powrotu.

Sawitri zaś rzekła: „Obowiązkiem dobrych ludzi jest okazywać miłosierne serce na widok cierpień ludzkich; więc daj i ty się poruszyć błaganiom moim.“

„Rzewnemi słowy twemi wzruszyłaś serce me, więc jeszcze trzecią łaskę wolno ci wybrać, prócz życia twego męża.“ Usłyszawszy te słowa, prosiła Sawitri o liczne potomstwo dla ojca swego, któremu bogowie nie byli dali syna. Jama rzekł: I to życzenie spełnię ci, teraz zaś powracaj, bo już za daleko za mnąś poszła.“

„O, jeszcze wiele, wiele dalej tak bym ci towarzyszyła, wielki Boże śmierci, i upraszam cię, żebyś na to zezwolił; otóż z miłością i zaufaniem zawsze zbliżałam się do małżonka mego, bo on był tak dobrym, a któżby nie miał zaufanie do istot prawdziwie dobrych.“

„Zaprawdę,“ rzekł na to Jama, „bogata jesteś w czułe słowa, piękna królów córo; stąd niech i na czwartą łaskę zezwole, prócz życia małżonka twego.“

„Udziel więc mnie i mężowi memu licznego potomstwa,“ prosiła Sawitri a bóg przyrzekł spełnienie tej prośby. A zasię kazał jej wracać do swoich, lecz ona ze łzami w oczach dalej mówiła: „Otóż działanie ludzi dobrych nie żąda nagrody ni

wzajemnych usług, a mimo to przynosi owoce obfite, albowiem bogowie spoglądają łaskawem okiem na dobre czyny i sowicie go wynagradzają.“

„Im więcej mówisz,“ przerwał jej Jama, „tem więcej wzruszają mnie twe słowa. Dlatego, ty najwierniejsza z małżonek, niech ci łaska nieograniczona zostanie udzieloną.“

„O najłaskawszy z Bogów,“ zawołała Sawitri, pełna niewysłowionej radości, „teraz łaska twa nie jest pozbawioną najpiękniejszego błogosławieństwa; więc zwróć mi życie małżonka i dozwól, żeby długie lata szczęśliwie żył u boku mego. Wszak już poprzednio prosiłam cię o potomstwo, któregoś mi nie odmówił, sprawdź teraz słowo twe, oddając mi małżonka!“

„Niech się stanie, czego sobie życzysz,“ rzekł Jama i rozwiązał pęta, w których trzymał ducha Satjawana, „odbierz go i żyj z nim szczęśliwie i z całą rodziną twą aż do późnej starości.“

Obdarzywszy ją tak sowicie dobry bóg śmierci powrócił do mieszkań niebieskich. Sawitri pospieszyła bez zwłoki do martwego trupa i z rozkoszą spostrzegła, że ukochany mąż jej w krótkim czasie otworzył oczy. Nie długo też w te się odezwał słowa:

„Otóż moja droga, dla ścinania drzewa tu przyszedłem do boru, kiedy po tak krótkim czasie uczułem gwałtowny ból, tak że

musiałem na twem łonie wesprzeć głowę. I niebawem spostrzegłem wielkiego straszego, a jednak dziwnie pięknego męża, który mi wydarł ducha. — Aleć to był sen chyba, gdyż żyję jeszcze.“ Sawitri rzekła: „Spieszmy kochanku, noc się zbliża; jutro powiem ci o wszystkim, co się wydarzyło. O jak niespokojni będą rodzice z powodu długiej naszej niebytności.“

„Tak, wracajmy do rodziców, odpowiedział małżonek, wiem, że będą pełni niepokoju i strwoży, że nas tak długo nie widać.“ Sawitri podniosła męża, założyła topór jego na ramię jako broń przeciw zwierzętom boru, objęła czule męża i zwróciła się, wdzięcznie z nim rozmawiając ku domowi.

V.

Dżumatsena był tymczasem przejrzał i widział wszystko jak poprzednio. Smutek zaś opanował serce jego, kiedy do samej nocy daremnie wyczekiwał dzieci swych; nareszcie postanowił wybrać się z małżonką do boru, żeby ich szukać. Przeciw temu postanowieniu oświadczyli się bramini, którzy, żeby go rozweselić podług sił swoich, poczęli mu opowiadać o wielkich czynach dawnych królów indyjskich. — Tymczasem młodzi małżonkowie nadeszli, wnet stanęli we drzwiach i wesoło przywitali rodziców. Bramini zaś rzekli do Dżumatseny: „Otóż królu, potrójnej łaski udzielili ci dziś bogowie; syn twój zdrów powrócił,

wróciła i córka twa, a światło ocz na nowo ci udzielone, pozwala ci cieszyć się na widok szczęścia twych dzieci.“ Na zapytanie króla, czemu tak długo zabawili w borze, odpowiedział Satjawan: „Oto, kiedy zajmowałem się ścinaniem drzewa, popadłem naraz w twardy sen, tak że nie wiem co się stało, Sawitri zaś wie o tem, więc niech ona nam opowie, co się wydarzyło.“ Na to wezwanie opowiedziała Sawitri wszystko podług prawdy i zakończyła opowiadanie swe życzeniem, żeby szczęście, które bogowie zesłali, nigdy ich nie odstąpiło. Wszyscy powtórzyli to życzenie i podnieśli się, by pójść na spoczynek.

* * *

Ledwie zaświtał nowy poranek, kiedy ze wszech stron boru poczęli schodzić się pustelnicy, żeby świątobliwej rodzinie okazać swą radość z powodu tak niespodzianego szczęścia. Krótco po nich ukazał się liczny orszak mieszkańców Salwy, stolicy Dżumatseny, którzy prosili, żeby na nowo zechciał wstąpić na tron. Wróg jego, tak opowiadali, ze wszystkimi przyjaciółmi swemi był zabitym a lud gorąco pragnął dawnego dobrego pana. Dżumatsena wstał więc do złocistego palankinu i powrócił, otoczony rodziną swą, do ojczyzny.

I reszta obietnic, danych przez boga śmierci, spełniła się. Sawitri doczekała się wielu pięknych i dzielnych synów, a nawet

ojciec jej miał się na starość swą cieszyć
licznem potomstwem. A kiedy po wielu,
wielu latach największego szczęścia, Sawi-
tri została powołaną do krain niebieskich,
wtenczas imię jej przechowało się od po-
kolenia do pokolenia i jako bóstwo czczono
ją przez długie wieki.“

J. Ossowski.

Tutaj na ziemi.

(Z Sully Prudhomme'a.)

Tutaj, na ziemi wiedzna powoje,
Milknie srebrzysta piosnka słowika,
Tu żar wysusza kryniczne zdroje!
Więc marzę wiosnę, która nie znika,
Ale trwa wiecznie.

Tu bólem płacisz rozkoszy chwile,
Różanych ustek zabija technienie,
W miodowej czarze piolunu tyle!
Więc o rozkoszy marzę jedynie,
Która trwa wiecznie.

Przyjaźń stargana, miłość zdradzona,
Rozpacz wydaje pobladłe twarze,
Z złudnych snów wcześniej dusza zbudzona!
Więc taką przyjaźń i miłość marzę,
Co trwają wiecznie.

Teofila Radońska.

Do jaskółki.

Jaskółeczka szafirowa,
Czemuś tak żalosna?
Piosenka twoja zimowa
A w serduszku wiosna!

Zawsze wiosna, zawsze lato,
Zima ci nieznana;
Wiotkie masz skrzydelka na to,
Ptaszyno kochana!

Żebyś smutnej, martwej zimy
Nigdy nie zaznała,
Lecz w słoneczku kraj rodzimy
W dni smutne latała.

I — posłanko dla nas miła —
Z każdą nową wiosną
Na skrzydełkach nam nosiła
Nadzieję radosną.

W górę sokół, orzeł wyżej
W słońce patrząc lata,
Lecz od ciebie żaden chyżej,
Chyba ptak fregata.

Więc nie pragnij jaskółeczko
Być orłem, sokołem,
Ale nisko krąż w kółeczko
Nad ojczystym siołem.

I zagłądaj w okna chatek,
I odwiecznych gmachów,
I kleć gniazdo dla swych dziątek
W pośród naszych dachów.

Muszek sobie i motyli
Na uczty nie żałuj
A kiedy się lot twój schyli,
Ziemie skrzydłem całuj.
W wód ojczystych cichej fali
Rzeźwij pierś zemdloną,
Kiedy letnie słońce pali
Wiosny narzeczoną.
A jeżeli w dni burzliwe
Przyjdzie na cię trwoga,
Znajdziesz serce litościwe,
Jaskółko nieboga.
Co cię schroni i ogrzeje,
Do łona przycisnie,
I za pokarm da nadzieję,
Ze słońko zabłyśnie!
Błyśnie słońce jaskółeczko,
Nie bądź tak żalosna,
Kraź nad nami, kraź w kółeczko
Wróci luba wiosna!
Wróci dla nas i dla ciebie,
Jaskółeczko miła,
Wróci, jako Bóg na niebie,
Aby już wróciła!

H. Feldmanowski.

Lilia — paproć.

Lat temu kilka włókłem się wieczorem
Z flintą na plecach po lesie,
Myśląc, że los mi turkawkę gdzieś borem,
Lub i szaraka nadniesie.

Lecz nigdzie śladu szaraka, ni ptaka
I próżno chodzę i chodzę:
Pewnie mię baba urzekła gdzie jaka,
Lub ksiądz wyminął po drodze!

Znudzony wreszcie, pod dąb rosochaty
Usiadam na mchu zieleni,
Klnąc ród zajęcy, ród ptaków skrzydlaty,
I lulkę ciągnę z kieszeni.

I za chwil parę lulka dymi, przyska,
A mnie lżej jakoś na sercu —
Leżę jak basza — przy mnie odaliska
Flinta, na mehowym kobiercu!

Pomknąłem myślą gdzieś w marzenia kraje
I sennem roił widziadła,
A w tem — o Chryste! włos mi dębem staje,
I lulka z gęby wypadła!

Słuchajcie, wiercie! dalibóg nie kłamię!
Nie lubię bredni, ni mrzonek! —
Leżałem otóż oparty o ramię,
Przedemną leśny kwitł dzwonek.

Wtem patrzę — dzwonek błękitny, maleńki,
Coś główką ruszać poczyną,
I wkrótce jasne i srebrzyste dźwięki
Szle z wiatrem w niebo kwiecina.

Na znak ten wszystkie dzwonki, konwalijki,
Snać czarów dotknięte dłonią,
Smukłe ku niebu wyciągają szyjki,
I dzwonią, dzwonią i dzwonią.

A dźwięków powódź w koło się rozlewa,
Rośnie, wre, piętrzy się echem —

A ja — zdretniały przyrośłem do drzewa,
Bojąc się zdradzić oddechem!

Uciec? — nie uciec? a nuż w swoje szpony
Bies mnie pochwyci bez pięty,
I w sprosne jakieś ziółka przemieniony
Będę — w rumianki lub mięty?

Leżę więc martwy — aż tu — dziw nad
dziwy

Ze wszystkich lasu kryjówek
Spieszy tłum kwiatów, tłum gwarny, tłum
żywy!

Pstry barwą listków i główek!

Idą i idą — tu lilie, bławatki,
Tam róża, kochanka słońca,
Tu niezabudki, tam pod ręką bratki,
Idą i idą bez końca.

A wszystkie głośnie, wszystkie się przez
drogę

Rozmową bawią wzajemną,
Lecz wszystkie, Boże! któż określi mą
trwogę?

Pod dąb się schodzą, przedemną.

Schodzą się, stają i tęczowe kręgi
Przed mojem okiem się słonią
A dzwonki siłą czarownej potęgi,
Wciąż dzwonią, dzwonią i dzwonią

Nagle — ucichło! a kwiecista rzesza
Pokornie główki swe skłoni;
Dzwonek serduszko już w kielich zawiesza
I konwalijka nie dzwoni.

I oto, z dębu koronnego wianka
Promyk się zlewa księżycą,
A po nim zbiega — szatan, czy niebianka?
Cudnej postaci dziewczica!

Z niezapominajek, lilijek i tęczy
Suknia jej, rosą sperlona,
Różany dyadem jasne czoło wieńczy,
A gwiazdka błyszczy u łona.

Powiewna, lekka, mknie przez mehu ko-
bierce

Jak promyk słońca wśród chmury. . . .
A w tem — śpiew boski chwyta mnie za
serce:

To kwiatów śpiewają chóry.

Chór kwiatów.

Dziewanno, cześć ci, cześć!
Królowo lasów, gór!
O racz swe oczy wznieść
Na serca wiernych cór!

Dziewanno, witaj nam!
Lecz cóż cię w głuchy bór
Z poza tęczowych bram
Sprowadza do twych cór?

Może cię słowik twój,
Kochanek tkliwych dusz,
Co w pierś lał czarów zdrój,
Może nie kocha już?

A może podły wróg
Schwytał go w siდეł szpon?

Może — niech broni Bóg!
Ptaszyny płaczesz zgon?
Powiedz, a z piersi jad
W paszcze wlejemy żmij,
I pójdą w wroga ślad!
Dziewanno, żyj nam, żyj!
A może woni czar
Chcesz z naszych zebrać łon,
I Matce Bożej dar
Nieść kornie ją przed tron?
Czy złotej tęczy w dań,
W przyjaźni słodkiej znak,
Z sukienek naszych tkań
Chcesz barwny uwić szlak?
O weź nas wszystkie, weź!
I wianek tęczy wij,
I Matce Bożej nieś!
Dziewanno, żyj nam, żyj!

Dziewanna.

Nie na to, nie na to, was kwiatki,
Wezwałam ja dzisiaj do boru!
Ni woni dla Bożej chcę Matki,
Ni tęczy słać darek koloru.
I słowik nie chory, kochanek,
Szczęśliwie uniknął on sideł,
Barw tęczy nie brakło na wianek,
Ni brakło aniołkom kadzideł!
Lecz na to wam, na to dziś borem
Dzwoneczki głosiły orędzie,
Abyście się zeszły wieczorem,
Bo dzisiaj, kwiateczki, sąd będzie!

Chór kwiatów.

Sąd będzie?! — sąd będzie?! — sąd będzie?!

Dziewanna.

Niestety! być musi, bo zbrodnia
Jednemu splamiła z was serce,
Bo świętej miłości pochodnia
Nie tlała w niem choćby w iskiecie!
Więc wystąp z szeregu bławatku,
I przebieg nam sprawy dokładnie
Opowiedz, naoczny ty świadku
Tej zbrodni — a kara niech spadnie!

Bławatek.

Na rozłogu, na kwiecistym,
Nad ruczajem, nad srebrzystym,
Rósł lilijki białej kwiat,
Czysty, jak perłka rosy,
Jak aniołek jasnowłosy,
Wonią poił świat.

A słoneczko, gdy zaraniem
Ptasząt zbudzi się śpiewaniem
I na niebios błysnie tle,
Wnet lilije ukochanej
Pierwszy promyk przez tumany
W pocałunku szle.

A wieczorem, kiedy zleci
Z nieba anioł — niebios dzieci,
Kwiatków, chłodzić skwar i znój,
Do lilijki, swej pieszczotki
Pierwszy bieży, w kielich słodki
Rosy leje zdroj.

I strumyczek, co po łące
Zachmurzone, gniewne, wrące
Wody toczy w morską toń —
Przy lilijce zwalnia biegu,
Gładzi czoło i u brzegu
Słodką pije woń.

A z nim razem i dąb stary,
Choć król lasów, choć konary
Wieków biała kryje pleśń,
Ku lilijce zniża czoło
Szumem liści jej wesolą
Wieków nuci pieśń.

Lecz ją nieba te pieszczoty,
Ziemi hołdy — wnet w sromoty,
I wnet w zbrodni pechnęły toń!
Serce w niej zakamieniało,
Miłość zgasła — i zuchwała,
Pyszną, wznosi skroń.

I gdy krasy swej wymową
Miłość tchnęła w kryształową
Piers strumyka, co biegł w dal,
A on pieśń jej szczęścia, cnoty,
I miłości i tęsknoty
Nucił szumem fal:

Głuchy, zimny, obojętny
Na uczucia głos namiętny
Kwiat jej, jak pierś niemych skał!
Choć strumyczek biedny, w szale,
Kawał brzegu po kawale,
Chcąc się zbliżyć, rwał.

Biedny, biedny mój ruczaju,
O pójdz, innym kwiatkom w gaju
Słodką piosnkę serca nuć!
Bo lilija w sercu pieści
Lód i pychę: twej boleści
Ach nie zdoła czuć!

Lecz jak strumyk fal przeźroczy
Do źródelka nie potoczy
W swe rodzinne góry — nie!
Tak i sercu nie rozkaże —
Lecz w tęsknoty, bólu żarze,
Schnie . . . i schnie . . . i schnie! . . .

A dziś zorza, gdy o świetle
Na świat wbiegła budzić życie
W kwiatkach lasów, gór i pól —
Patrzę . . . nie ma już strumyka,
Do dna wysechł — rozpacz dzika,
Tak go strawił ból!

Chór kwiatów.

Okropność! okropność! okropność!

Dziewanna.

Dziateczki, rozwaga, roztropność,
Niech waszej przoduje boleści!
Okropność, zaiste, okropność,
W tej strasznej historii się mieści!
Lecz zanim mą wolę obwieszczę
I zbrodzień pokaran zostanie,
Wasz wyrok usłyszeć chcę jeszcze,
I wasze też poznać chcę zdanie.
Więc naprzód niech staną tu w kole

Lilijki, wyrodnej siostrzyczki,
A po nich mi bratki swą wolę,
A po nich objawiają różyczki.

Chór lilij.

Królowo! mszcząca dłoń
Do źródła pychy zwróć!
Z jej łona zdmuchnij woń,
Z jej lica barwy zmaż,
I — trupią dalej jej twarz,
I na dno bagna rzuć!

Królowo! na szczyt skał,
(Za próg lodowych bram)
Gdzie burz się rodzi szal,
Gdzie piersi siecze grad,
Gdzie — lodem cały świat —
(Królowo rzuć ją tam!)

Chór róż.

W przepaści czarnej jar,
Gdzie setki węzów, żmij,
Gdzie słońca stygnie żar,
I tęczy gaśnie blask,
Gdzie sów, puhaczów wrzask,
Królowo! — tam ją szlij!

Chór kwiatów.

Dziewanno, korzym twarz,
Czekając na twój sąd;
Ty sercu milczeć każ,
I litość wygnaj stąd.
Miłość kto gasi żar święty,
Przeklęty! przeklęty! przeklęty!

Dziewanna.

Przeklęty, przeklęty, zaiste!
Kto serca tkliwego zapali,
Przejazne, promiennie, przeczyste
Na jary, porzuca na skały!
A jeśli kto niebo na twarzy,
Lecz w piersi — ma piekiel odmetry:
— Niał mrozi, co licem rozżarzy! —
Ten dwakroć przeklęty! przeklęty!
I lilij nie rzucę ja zatem
Na lody ni w przepaść odmetry,
Bo życie być musi jej katem
I hańby niech dżwiga wciąż piętno!
Że dumna z swych wdzięków i krasy —
To w takie przystroję ją szaty,
O jakich nie śniły ni lasy,
Ni ptaszek wam śpiewał skrzydlaty,
O! główką już w niebo nie strzeli,
Nie wzniesie już smukłej postaci,
Ni woni jej zajrzą anieli,
Bo kielich śnieżysty już straci!
I żółkłych, szczerbatych korona
Listeczków otoczy ją w koło,
Żałobne ku ziemi ramiona,
Żałobne pochyli swe czoło!
Wśród bagien, moczarów, topieli,
Zamieszka na wieki bór głuchy,
Gdzie ciszę — nie ptaszek weseli,
Lecz chyba — skrzek wstrętnej ropuchy!
Że jednak miłości i serca
Zgwałcono mam skarać w niej prawa,
Niech sercem tak cierpi morderca,
Jak strumyk, ofiara ta krwawa;



Więc z chwilą tą miłość w jej łonie
Niech łuną płomienną zabłyszczczy,
I wiecznym niech ogniem w niej spłonie,
I śladem popiołów zgłiszczczy
Niech pochod swój straszny wytycza,
I odtąd jej kwitnąć nie każe,
Lecz wiecznie nieślubna, dziewicza,
W wewnętrznym niech trawi się żarze;
Raz tylko, na Jana, na wiosnę,
Zabłyśnie wyżółkły jej kwiatek,
Przeszłości wspomnienie radosne,
I nowych katuszy zadatek,
I wciąż tak i dalej, i dalej,
Niech wieki swym bolem przelicza,
Tęsknicy swej żarem się pali,
Wywiędła... wyżółkła... dziewicza...
Ślad po niej zatrzemy i w mowie;
Więc każdy niech odtąd pamięta:
Nie — lilia — paprocią się zowie,
Przeklęta! Przeklęta! Przeklęta!

Chór kwiatów.

Miłości kto gasi żar święty!
Przeklęty! przeklęty! przeklęty!

Dziewanna.

I sądy me takie. Lecz świadki *
Tych sądów godzicież się na nie?
Więc każda rodzina z was kwiatki
W ten sposób objawi swe zdanie:
Kto w całej się zgadza osnowie
I treści na wyrok mój wszystek,

Ten „tak“ swe przez to wypowie,
Że poda zielony mi listek.
Kto wszakże dla winnej się części,
Przed karą domaga obrony,
Ten przez to „nie“ swoje obwieści,
Że poda mi listek barwiony.

Chór kwiatów.

Dziewanno, wielkaś ty!
O, nie! nie pytaj nas,
A zbrodnia niechaj drży,
Bo kaźni spieszymy czas!
O, zielen! spieszymy nieść,
Dziewanno, cześć ci, cześć!

* * *

I proszę państwa, w wrzaskliwej gromadzie,
Kwiat się przez kwiaty przepycha,
I każdy listek z gałązki jej kładzie,
A nikt z barwnego kielicha!

I gdy tak rosą brodzi tłum zażarty,
Jeden przed drugim wprzód bieży —
O zgrozo! figla płatają mi czarty,
I kicham! — jak z stu mózdzierzy!

Struchlałem! — jednak trę, przecieram oczy.
A w lesie — pusto i cicho!

Na niebo księżyc płynie po przeźroczy,
Na ziemi — znikło gdzieś lichy!

Zrywam się — lulkę, flintę chwytam w
dłonie,
I z piekieł zmykając paszczy,

Jak wichr na oślepe do mej chaty gonie
Wśród zielska, krzaków i chaszczy!

A gdy zdrapany, wybladły, obdarty,
Com przebył, mówię mej starej —
Wykpała jeszcze za niewczesne żarty,
Żem spał, że senne to maryl!

Oj to nie maryl! anioł raczej przecie
Zawiódł na kwiatów mnie drogi,
Bym sąd ich widział i ludziom na świecie
Dla mądrej skreślił przestrogi.

A więc dziewczęta, wykrycie na złocie
Dziewanny mądry sąd w borze,
I strzeżcie go się, gdy ku wam w tęsknocie
Biedny chłopczyną rozgorze!

Niech o paproci też każda pamięta,
Staropanieństwa co znamię
Wciąż biedna dźwiga — strzeżcie się dziewczęta!

Bo ja — dalibóg nie kłamię!

Habakuk. (Wyjęto ze Szczutka.)



O Baśce, co jej krowę zajęli.

Miała Basia płową krowę,
Pognała ją na dąbrowę.
Jak pognała, tak pognała,
Złoty wianek przewijała;

Przewijała w cichy ranek
Komu wianek? sobie wianek.
A czy ją też dziewczę młode!
Kiedy krowa poszła w szkodę.
Podeptała dwa zagony,
Od tej strony do tej strony.
Albo za nią albo w nogi.
Jeno co jej widać rogi,
Krowa płowa, płowe zboże,
To się w zbożu skryje może.
— Bodajże cię, cóż ja zrobię*
Ot i ludzie — maszci tobie . . .
Bodajże cię wianku złoty,
Narobiłeś Baśce psoty.
Oj! wyleciał dziad za krową,
Pogonił mi krówkę płową,
Aleć moja płowa skóra,
Będziesz latał do wieczora.
Nim ją chwycisz za dwa rogi,
Połamiesz se dziadu nogi.
Oj! wybiegła matka z chaty,
Co skazała przed stu laty,
Nie chodź matko, miła Ewo,
Stare nogi, stare drzewo;
Zostań babuś w chaty progu
Oddaj żytko Panu Bogu.
Oj wyleciał chłopiec sokół,
Pogonił się za nią w okół;
Już tu ona, już tu ony,
Wiedzie krówkę przez zagony;
A ja cicho, ani słówka?
Czyja krówka? Baśki krówka.
Zapłacić że mi za tę szkodę,

Albo płową sobie wiodę.
Krowa patrzy mokronosa,
Nadeptała tego kłosa,
Cóż ja pocznę nieszczęśliwa!
— Mój Wawrzynie dam ci płatek,
Albo płatek albo kwiatek.
— A ja niechcę to ni owo,
Jeno daj mi jedno słowo:
Będiesz moja? — A matula?
— Jak nie zechce to do króla.
Zawołamy: Królu Mości,
Kochamy się od dawności!
— A jak król ci nie uwierzy,
Jeszcze złapie do żołnierzy . . .
To pójdziemy do plebana,
Niechże będzie dana, dana,
Moje słowo, twoja krowa,
Baśka biała, krówka płowa . . .

Lenartowicz.

Heine o Polkach.

Sławny ten niemiecki poeta przebywał pewien czas w polskich ziemiach i bawił też w Poznaniu (gdzie jakaś czarnooka Izraelitka obudziła w nim gorętsze uczucia.) Heine miał zatem sposobność przypatrzenia się Polkom, które uczyniły na nim głębokie wrażenie, o czym pisze w jednym z listów do przyjaciela, krótko przed wyjazdem do Francyi: „A teraz, przyjacielu, uklęknij lub przynajmniej od-

kryj głowę, bo mówić będę o polskich kobietach. Wlepiam wzrok w niebiosy, a duch mój ulata na wybrzeża Gangesu, szukając tam najcudniejszych, najwonnejszych kwiatów, jakieby z niemi porównać można. Lecz czemuż są wobec tych uroczych istot wszelkie magnolie, konwalie, lotusy i najpiękniejsze kwiaty? Gdybym malował, jak Rafael, tworzył melodye, jak Mozart, przemawiał ognistym słowem Kalderona, może zdołałbym wzbudzić w tobie uczucie, jakiegobyś doświadczył, gdyby Polka, istna nadwiślańska Afrodyte, ukazała się twoim zachwyconym oczom.

Lecz czemuż są wszelkie Rafaelowskie płótna, w porównaniu z tą godną ołtarza pięknoscia, jaką Bóg utworzył w chwili największej ze ziemian łaski? Co znaczą Mozartowskie dźwięki wobec dźwięcznego słowa, tej istnej rozkoszy ducha, jakie płyną z jej różowych ustek? Czemuż są Kalderonowskie gwiazdy ziemskie i światy niebieskie w porównaniu z temi uroczyemi istotami, które po kalderońsku nazwane są aniołami ziemi, kiedy dla mnie sami aniołowie są Polakami nieba. O! tak, przyjacielu mój, kto raz spojrział w oczy Polki, w te oczy gazeli, ten uwierzy w niebo, choćby największym był niedowiarkiem.“



Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie — czy Ci przeznaczenie
Łzą lub uśmiechem, znaczy życia
drogę,

Wspólne nam były rozpacz i cierpienie,
Dziś z Tobą razem nie dzielić nie mogę!
Po stracie złudzeń zboliała — w żalobie —
Ja każdą myśl błogosławię Tobie.

W noc ciemną, w jasny dzień

Słuchaj tych myśli tchnień,

Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, gdy jutrzienka błysnie,
W noc, gdy Cię senne owładnie znużenie,
Nad Tobą gwiazda znajoma zawisnie,
Zatartych wrażeń rozbudzi wspomnienie!
A duch mój tęskny z obłoków różowych
Spłynie ku Tobie w blaskach księżycowych!

Usłyszysz w nocnej mgle

Głos, co Ci prośbę śle:

Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, gdy ziemia wilgotna
Serce złamane na wieki przygniecie,
Niech mi nie ciąży mogiła samotna,
Och! wiarą w lepszym odszukaj mnie
świecie!

Ja Cię kochałem!.. miłość ta ku Tobie
Czysta, promienna — nie zagaśnie w grobie!

Z cichych, czarownych snów

Zbudzi Cię głos ten znów:

Pamiętaj o mnie!

Mgły poranne.

Mgła nad wodą się podnosi
Wprzedpogodne ranie;
A dziewczę co wodę nosi,
Zamyśłone stanie.

Patrzy, patrzy, jak mgła siwa
Wzbija się pod słońce,
Przez nią słońce się dobywa
Jak nikt świecące.

I ta szara, taka brudna,
Kiedy była nizko,
Zrobiła się taka cudna,
Dziwne widowisko.

Zamyśliło się stworzenie
O sukience złotej,
Aż jej przerwie zamyślenie
Anioł, stróż sieroty.

„Co tak patrzysz, duszo droga,
Czybyś zajrzeć miała?
Jak podniesiesz się do Boga,
Będiesz jasna cała.“

T. Lenartowicz.



Czaty.

Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany
Bieży w zamek z wściekłością i
trwogą.

Odechliwszy zasłony, spojrzął w łóżę swej
żony,

Pojrzał, zadrżał: nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi, i rękami drżącemi
Siwe wasy pokręca i duma.

Wzrok od łóża odwrócił, w tył wyloty za-
rzucił,

I zawołał kozaka Nauma:

„Hej kozaku! ty chamie! czemu w sadzie
przy bramie

Nie ma nocą ni psa, ni pachółka?

Weź mi torbę borsuczą i janczarkę haj-
duczą,

I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.“

Wzięli bronie, wpadli, do ogrodu się
wkradli,

Kędy szpaler altanę obrasta.

Na darniowem siedzeniu, coś bieleje się w
cieniu:

To siedziała w bieliźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach
warkoczy

I pierś kryła pod rąbek bielizny;

Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Kłęczącego u kolan mężczyzny.

Ten, ściskając kolana, mówił do niej:
„Kochana!

Więc już wszystko, jam wszystko utracił?
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ści-
śnienia,

Wojewoda już z góry zapłacił!

„Ja; choć z takim zapalem tyle lat cię
kochałem,

Będę kochał i jęczał daleki,

On, nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem
zabrzęczał,

Tys mu wszystko sprzedała na wieki!

„Co wieczora on będzie, tonąc w puchy
łabędzie,

Stary łeb na twem łonie kołysał,

I z tych ustek różanych i z twych liców
rumianych,

Mnie wzbronione słodycze wysysał.

„Ja na wiernym koniku, przy księżycu
promyku,

Biegnę tutaj przez chłody i słoty,

Bym cię witał westchnieniem i pożegnał
życzeniem

Dobrej nocy i długiej pieśczoły! —“

Ona jeszcze nie słucha: on jej szepce do
ucha

Nowe skargi czy nowe zaklęcia:

Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem przyklękli za
krzakiem,

I dobyli z za pasa naboje;
I odcięli zębami i przybili stęplami
Prochu garść i garść kulek we dwoje.

„Panie! — kozak powiada — jakiś bies
mnie napada,

Ja nie mogę zastrzelić tej dziewczki;
Gdym półkucze odwodził, zimny dreszcz
mnie przechodził,

I stoczyła się łza do panewki.“

„Ciszej, plemię hajducze, ja cię płakać
nauczę!

Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę;
Podsyp zapal, a żywo zczyść paznokciem
krzesiwo

Potem palnij w twój łeb, lub w tę dziewczkę.

Wyżej . . . w prawo . . . pomału . . . cze-
kaj mego wystrzału:

Pierwej musi w łeb dostać pan młody —
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wy-
strzelił

I ugodził w sam łeb wojewody.

A. Mickiewicz.

Łamigłówka.

O czem się najwięcej pannom marzy,
a co się nie zawsze spełnia, a czasem
trzeba długo na to czekać?

Janek i Zośia.

Przebywając przez lato w rodzinnej wiosce,“ mówił mi pan X., „zwróciłem uwagę szczególną na piękną parę wieśniaków, która się codzień spotykała przy studni, koło której szła droga do lasu, ulubionego miejsca mych przechadzek. Dorodny wieśniak i wysmukła dziewczyna zdawali się być tak zatopieni w sobie, że nie spostrzegli nawet mojej uwagi. Jednego razu pozdrowiłem ich ‚pochwalonym‘, na co mi uprzejmie odpowiedzieli, a gdy pierwsze lody zostały przełamane, gdy zdobyłem sobie zaufanie, z właściwą wtedy ludowi naszemu szczerością i pochopnością do mówienia odpowiedzieli mi, iż się kochają, ale nie wiedzą, co z tego będzie; bo jego rodzice, gospodarze, — a ona służy tylko za dziewczkę, więc zezwolenie trudne będzie.

Po jakimś czasie wyjechałem ze wsi, żegnany przyjaźnie przez ową parę, której widok budził we mnie zawsze błogie i rzuwne zarazem uczucia, w swej prostej a czystej i po swojemu poetycznej miłości. Najbardziej lubiłem na nich spoglądać o zachodzie słońca, gdyż dziewczyna pędziła trzódkę do wody — a chłopak pomagał jej ciągnąć wiadro, — gdy dzwonki trzód i dalekie nawoływanie pasterzy biegły po rosie, wtórzac harmonijnie prostem słowem

miłości, — gdy zachodzące słońce oblewało jaskrawo twarz i szyję dziewczyny i w oczach chłopca zapalało gorące blaski.

Wróciwszy do miasta zakopałem się w książkach i pracach literackich i zapomniałem zupełnie o mojej idylli, gdy pewnego razu idąc ulicą, spostrzegłem dziewczynę z wiejska ubraną, niosącą wiadro, której twarz uderzyła mnie, jak coś znajomego. Byłbym może jej nie zauważył, ale w ścisłości miejskiej zastąpiła mi tak drogę ze swemi wiadrami, na szczęście pełnymi, iż w żaden sposób wyminąć jej nie mogłem. Spojrzałem wtedy zniecierpliwiony, aby coś ostrego powiedzieć, gdy oczy jej utkwione we mnie zastanowiły mnie.

Zaczerwieniła się pod same uszy i powiedziała „pochwalonym“ — wtedy dopiero przypomniałem sobie:

„Ach to ty, Zośku,“ była to moja dziewczyna z pod studni. „Cóż tu robisz?“ „O Paniczu, długa to historia,“ odpowiedziała mi z westchnieniem, usuwając się pod ścianę kamienicy i stawiając wiadra, „ja za służbą.“ „Za służbą? no, a twój Janek? miał się żenić z tobą?“ „O bogac tam Paniczu; ojcowie jego ani słyszeć o tem nie chcieli — jak im powiedział, to się tak rozsierzdzili, że mało go z chałupy nie wygnali. I znaleźli mu bogatą dziewczynkę, co miała włókę gruntu i cały dobytek i z nią się żenić kazali. „A on?“

„On Paniczu?“ tu zakryła twarz — i oczy fartuchem, — „on opierał się długo, prosił i płakał, — jak mógł, tak się ze mną widywał, z dala od oczu ludzkich, ale co-raz rzadziej, bo bojał się rodziców, aż i on wreszcie ustąpił.“

„Jakto, więc cię porzucił?“

„Musiał, Paniczu, cóż miał robić nieborak? Żli ludzie powiedzieli, że znęciła go bogaczka, ale ja tego nie wierzę,“ do-kończyła ciszej. „No, a ty opuściłaś swoją wioskę z żalu, wszak prawda?“ „Oj prawda, prawda panie złoty! Kiedy mu wyprawili weselisko, tam miejsca znaleźć sobie nie mogłam i chodziłam jak błędna — a ile razy go spotkałam, to mało mi dusza z żalu nie pękła, a on szedł i nie patrzył i spuścił oczy, jakby się mnie wstydził. A potem, gdy w kościele widywałam ich razem, ją wystrojoną pyszną jak paw, — jego przy niej, to mnie ognie siarczyste przechodziły i wołamam; „O Jezu, Jezu, zlituj się nad nami!“ słowa litanii tak głośno, aż się lud oglądał, jak mi później gadano, a ja o tem nie wiedziałam, bo łzy oczy zasłaniały. Toć powiedziałam sobie, że dłużej na srom taki, na żal i języki ludzkie iść nie chcę; rzuciłam wszystko i pola, lasy, trzodę, chałupkę i przywlokłam się tutaj. Pracuję od rana do nocy, ale mi lżej z tem; choć czasem, gdy siedę, to taka żałość serce me ściśnie,

że leciałabym daleko, a sama nie wiem gdzie, a najprędzej to do mej wioski.“

„I to czemu nie wrócisz?“ „Oj ciężko panie, — tam teraz jeszcze gorsza bieda.“ — Stryjeczny mój brat, co jest piśmienny, bo się uczył u organisty, pisał do mnie, a pani przeczytała, że jak Janka coś napadło, to zaczął stronić od domu i chaty, chudobę przepijać i wytrząsać ją z dziewczętami, a ojcom ostro się stawiał, gdy mu to wypowiadali: „Czemuście, mówił, nie dali mi Zośki, byłbym teraz szczęśliwy i dobry gospodarz a wam byłaby pociecha; a tak niech się dzieje co chce i kiedy bieda na sercu, to raka co je toczy w kieliszku topię.“ Tak miał gadać, a ja temu wierzę, i niechcę tam iść na większą jeszcze żalność, bo i jemu nie pomogę i sama zmarnieję, widząc, jak się pijany tacza od ściany do ściany i pod płótem lega. — Oj, nie poszła im moja krzywda na dobre, ani tamtej bogactwa; co nie, to nie!“

Jadwiga Zlasnowska.



Rodzina.

Dziś wielkie święto pośród rodziny
Gdzie małe dziecko jest:
Syn pierworodny i syn jedyny
Dziś wiary przyjął chrzest!

Dziadek wziął dziecko w drżące swe dłonie,
A matka stoi tuż,
W oknie otwartem w słońcu świat płonie,
Mgły się rozwiały już.

Matka wpatrzyła z tklivością oczy,
W ten skarb jedyny swój,
A ramę okna zieleń warkoczy,
Oplata bluszczów zwój.

Silna miłość zwycięża wszelkie przeszkody.

Dzienniki amerykańskie donoszą, że
w Nowym Orleanie kupiec pewien, na-
zwiskiem Bischoff, miał córkę 17-letnią
Idę. Kochał się w niej z wzajemnością
subjekt jego John Brown, młodzieniec
przyswoity lecz ubogi. Przed rokiem
Brown oświadczył się ojcu panny, który
jednak wobec świadków zbył go słowami:
„Dam panu córkę wtedy tylko, jeśli be-
dziesz miał tyle złota, ile ona waży.“
Brown wziął pryncypała za słowo i prosił

o piśmienne tego przyrzeczenie; dumny kupiec pewny, iż ubogi subjekt nigdy tyle złota nie zbierze, wystawił mu żądany dokument według form przepisanych. Z dokumentem tym w kieszeni udał się Brown do Kalifornii i przystąpił do spółki poszukiwaczy złota. Zrazu nie sprzyjało mu szczęście, przez kilka miesięcy nie znalazł ani okruszyny złota, nie tracił wszakże nadziei i ciągle utrzymywał korespondencyę z Idą, dodając jej otuchy, że spełni kiedyś ojcowski warunek. Panna potajemnie dała się zważyć i doniosła mu cyfrę swej wagi, która jak Brown obliczył, wynosiła w złocie 36 tysięcy dolarów. Nagle wytrwały kochanek znalazł żyłę złota wartości 20 tysięcy dolarów, wygrał też jednocześnie 1000 dolarów. Ojciec Idy dowiedziawszy się o tem, zapewnił córkę, iż nie myśli łamać słowa, ale też nie opuści ani dolara z pierwotnego warunku. Rozchodziło się więc o kilkanaście tysięcy dolarów. Wtedy Ida, ażeby ułatwić kochankowi spełnienie warunku, zaczęła o ile możliwości odmawiać sobie pokarmów, by tym sposobem stracić na wadze. W krótkim czasie doniosła Brownowi, że potrzebuje mieć o 2000 dolarów mniej niż myślał. Tenże odpisał z prośbą, aby nie dręczyła się niepotrzebnie głodem, gdyż szczęście służy mu stale, jakoż wnet potem przyjechał do Nowego Orleanu z 40 tysięcy dolarów w kieszeni. Teraz ojciec panny dał ją zwa-

żyć, przyczem pokazało się, że narzeczoncy potrzebuje mieć tylko 30 tysięcy dolarów; do tej sumy kupiec dołożył 30 tysięcy dolarów posagu i szczęśliwa para odbyła niedawno wesele, a nowa firma „Bischoff et Brown“ przyjęła za godło „sprawiedliwą wagę.“



Prawdziwa miłość.

W pielgrzymiej szacie dziewczica młoda
Przyszła, gdzie klasztor wśród boru,
Przyszła do furty z nieśmiała dłonią
Pociągnie sznurek, dzwonki zadzwonią —
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalon“;

„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalon“;
„Na wieki wieków,“ brat rzecze;
A gdy jej w oczy spojrzał nieśmiało,
Gwałtownie w piersi serce zadrzęło,
Łza smutna z oczu pociecze.

Spuściwszy w ziemię nieśmiało oko,
Spyta dziewczyna w pokorze:
„O, powiedz ojcze, czy nie wiesz czasem,
Czy mój tu luby między tym lasem
Nie mieszka w smutnym klasztorze?“

„Po czemże mógłbym, piękna dziewico,
Poznać twojego kochanka?“

„O po włosianem jego odzieniu,
I po niebieskiem jego spojrzeniu,
Milszem od wiosny poranka.“

„Darmo go darmo szukasz, dziewico,
Rzekł jej braciszek żałośnie;

„Dawno go dawno niemasz na świecie,
Grobowy kamień piersi mu gniecie,
A na kamieniu mech rośnie.

Widzisz to smutne okno za kratą,
Tu on żył długo w tej celi.
Tu zawsze we łzach, zawsze w tęsknicy,
Płacząc na srogość jakiejś dziewicy,
Poszedł do wiecznej pościeli.

Z grobowym dźwiękiem, z żałosnym ję-
kiem,

Sześciu go braci pospołu
Smutnie zanosło do tej mogiły,
A łzy niejedne piasek zwilżyły,
Nim go spuszczone do dołu.“

„Ty już nie żyjesz!!!“ krzyknie dziewica,
„Nie dla mnie szczęście na świecie;
Nie mam nadziei zbawienia w niebie,

Serce me twardsze było dla ciebie,
Niż kamień co pierś ci gniecie!“

„Nie płacz, dziewico, módl się zań raczej,
Próżno za zmarłych łzy płyną!
Wdzięki twe zniszczy żałość głęboka,
Łzy częste zniszczą blask twego oka,
Nie płacz, ach nie płacz dziewczyno!“

„Ach pozwól ojczu, pozwól mi płakać,
Nie wstrzymuj żalu mojego!
Niech zniszczy wdzięki żałość głęboka,
Niech zgaśnie wiecznie blask mego oka.
Żyłam i umrę dla niego.

Jak świat głęboki, nikt mnie nie kocha,
Ani tak mocno i szczerze;
W każdej mnie kochał niezmiennie dobie,
Ach pójdę, pójdę, na jego grobie
Łzy mu poświęcę w ofierze!“

„Wstrzymaj się córko, wstrzymaj łzy
rzewne,
Żałość unosi cię zbyt;
Ni ranna rosa, ni deszcz wiosenny
Nie wskrzeszą kwiatka, gdy już raz
zwiędły,
Nigdy już więcej nie kwitnie.

Jako ptak lotny radość przed nami;
Ucieka skrzydły swojemu,
Błądzi, kto w smutku ciągle zostaje,
Porzuć dziewczyno te łzy i żale,
Goń za radością na ziemi.“

„Ojcie kochany, wesele dla mnie,
Wiecznie na ziemi ustało.
Chciałabym miała, przed sądy Boże,
Cierpieć, co człowiek wycierpieć może.
Za grzech mój byłoby mało!

Gdzież o miły, gdzież o drogi?
W surowej ziemi głęboko!
Nie słyszysz wiatru, który w tej dobie
Szumiąc po drzewach, po twoim grobie,
Kolysze trawą wysoką!

Nigdy już ciebie nie ujrzę więcej,
Nigdy nie siądę przy tobie!
Ach gdzie są twoje lica śnieżyste?
Gdzie twoje oczy, te promieniste?
Wszystko, ach wszystko śpi w grobie!“

„Dziewico, niech się żal twój osłodzi,
Nie oddawaj się rozpaczyle!
Pomnij, jakimi są ludzie młodzi,
Chwila zapala, chwila ich chłodzi,
Dziś tak, a jutro inaczej.

Kto wie, czy czasem i twój kochanek,
Pomimo danego słowa,
Niebył i tobie może niestałym,
Wierz mi, ma córko, młodych zapaly,
Są jak pogoda marcowa!“

„Ach nie mów tego, nie mów mi więcej,
Ach co za słowa zabójcze!
Ach, szczere były jego zapaly!
On by mi kiedy miał być nistałym?
O, nie mów mi tego, mój ojcie!“

A gdy przypadło z przeznaczeń na mnie,
Że już go ziemia przykryła,
Pójdę na puszcze jaką głęboką,
Tam gdzie mnie ludzkie nie ujrzy oko,
Zbrodnię zagładzić pokutą!

Lecz pokaż wprzód, gdzie go schowano;
Popłaczę nad nim przez chwilę;
Pójdę go błagać modły mojemu,
Odwilżyć łzami ach gorącemi
Trawę na jego mogile!“

„Spoczynek tobie bardziej przystoi,
Północna już przyszła pora.
Niebo czarnemi zaszło chmurami.
Słyszysz, jak wieher trzęsie oknami,
Spocznij, w przysionku klasztoru.“

„Ach, puść mnie ojcze, nie mogę czekać,
Godziny, ni pół godziny!
Chociaż deszcz pada, choć wieher wieje,
Deszcz chociaż cały świat dziś zaleje,
Nie zdoła obmyć mej winy!“

„Powróć dziewczyno, smutek skończony,
Patrz na mnie, najmilsza moja!
Ten żalowany, ten opłakany,
Ten, który dawniej przez cię wygnany,
Twój miły, to ja, ach to ja!

Pewny zanadto twej nienawiści
Zaszedłem w kraj ten daleki;
Już i mnie miała zakonna krata
Od wzgardzonego na wieki świata,
Od ciebie dzielić na wieki!

Lecz jeszcze rok mój nie upłyniony,
Przez który byłem na próbie;
Jeśli twe serce dla mnie jest skłonne,
Opuszczę klasztor, suknie zakonne,
Pójdę żyć wiecznie przy tobie!“

„O Boże! Boże! wieczne ci dzięki,
I żal i smutek się kończy!
Opuść ten klasztor, suknie zakonne,
Oddam ci serce do ciebie skłonne
I śmierć nas tylko rozłączy.“



Wyschły kwiatek.

Mam ja babunię staruszkę,
Która brewiarzyk ma stary;
W tym starym brewiarzu leży
Kwiatek wyschnięty i szary...
Dłoń, co go niegdyś jej dała,
Dziś bledziej może wygląda;
Cóż się więc stało tej babci,
Że płacze, gdy nań spogląda?

Chochlik.



Dwa listy Don Żuana.

I.

Pani!

Smutne i bolesne dni żywota mego
mgłą czarną zaległy na horyzoncie
mej przeszłości, ani jeden promień złoty
nie rozjaśnił samotnej wędrówki. Z ogni-
stem sercem w łonie, z orłolotną myślą
szukałem, goniłem za ideałem i szczęściem,
a wpatrując się w różnobarwne tęczę na-
dziei, snułem marzenia o lepszej doli, ale
niestety napróżno dotychczas! Czyż za-
wsze los zawzięty będzie moim udziałem?
Czyż nigdy kropla rosy ożywczej nie spa-
dnie na znękanę serce? Och! serce moje

nie wypiera się jeszcze wrażeń, ponęt życia, rwie się jak rumak, drży i ogniem pryska! Och! to widok tych aksamitnych, głębokich oczu, tego kruczego nad Twą skronią wieńca i tego dziewiczego, cudnego rumieńca, nie może jak wywołać wszystkich uczuć drgnięcia! Cały więc miłością natęchniony u stóp Twoich, Pani, kładę przyszłość moją. Bądź więc tą niebianką, która szczęście rozdajesz! Daruj mi to moje i daj słowo Twoje, że nie wzgardzisz uczuć mych wylaniem i dasz przyzwolenie złożenia Ci osobiście mojego głębokiego uszanowania i ponowienia prośb moich w mieszkaniu najdroższej, najukochańszej Tosi. Z niecierpliwością bez granic oczekiwać będę odpowiedzi, czy mogę jutro o 5tej stanąć przed Tobą, Pani. Na znak, że nie odrzucasz mnie, wpleć dziś na wieczór w swe krucze sploty pasową wstążkę, lub przypnij do łabędziego łona różę, kwiat miłości, z listkiem zielonym, symbolem nadziei! Bądź gwiazdką! Bądź promieniem światła, na ścieżce żywota mojego i powiedz: „Tak“ a echo słowa tego uroczą melodią rozpłynie się po wnętrzu duszy mojej, ożywczem tchnieniem pokrzepi siły oczekujące, bym w nadmiarze upojeń bez zwłoki ze czcią Ci należną mógł przybyć jako najszczęśliwszy

Twój wielbiciel

Don Żuan.

II.

Pani!

Sobota, w której ufałem zrealizować najpiękniejszych marzeń nadzieję, była dla mnie najczarniejszym, najokropniejszym z dni moich. Nie odebrawszy tak pragnionej, niewinnej odpowiedzi w przybytku Tespidy, na z pod serca wyrwane zaklęcia, rozpaczą miotany pędziłem do domu jak szalony. Gorączką goryczy przejęty, chciałem wszelką myśl o Tobie, Pani, wyrwać z pamięci. Lecz! słaba natura ludzka, nie możesz się oprzeć silnym prądom unoszących cię namiętności! Jak igła magnesowa ku północy, tak myśl moja zawsze, gdziekolwiek jestem, czemkolwiek się zajmę, zawsze ku Tobie się zwraca, a ja z rozdartem sercem na dwoje obowiązkom podjętym zadośćuczynić nie mogę; Twój obraz ściga mnie wszędzie. Gdy ołówek pochwycę, by architektoniczne wiązać linie, zamiast wyniosłej kolumny, postać Twą wspinałą kreślę; w arabeskowych ozdobach bezwiednie rysuję nie palmowych liści rozstrzelające promienie, lecz z fal przejrzystej szaty wymykające zgrabne stopki; nie południowej sfery kwiatów zwoje, lecz Twego misternego uszka cudną konchę. Gdy książkę biorę do ręki, aby nią rozprószyć smutne myśli, litery zlewają się w oczach moich w jedną całość

przecudną postać, a tą postacią, to Ty, Aniele! Oh tak! I cóż dziwnego w tej, fantasmagoryi? Wszakże Ty pani ideału kolumną, uczucia kwiatem, raju mojego sklepieniem! A po za Tobą niema piękności, ni szczęścia dla pragnień ducha, serca i istności Twego wzgardzonego wielbiciela. O wierzaj mi Pani, ta wzgarda, to za ciężkie brzemie na barki moje, to też uginam się, oczy ku ziemi dążą, serce schnie, myśl płacze się, a zazdrość, hydra stugłowa, zaczyna opanowywać me jestestwo. Oh! stokroć szczęśliwy, a mnie zawistny ten T. Br. . . i, który potrafił zaskarbić sobie łaski Twe, o Pani! O! nie uśmiechaj się Pani! Czyż nie wiesz, że to zazdrość pochłania najpiękniejszych uczuć błyski, że to ona w czarny odmet rozpaczy wtrąca człowieka? że walczy tylko sztyltem lub trucizną. Chcesz mnie Pani uchronić od tej zarazy śmiertelnej? Pociesz, a miłosiernem uczuciem wiedziona, spełń to, o co Cię tak gorąco prosiłem, błagałem, i daj mi znak jaki Twej, pobłażliwości, że nie odpychasz Twego z głębi serca i duszy Cię uwielbiającego

przyjaciela.

Uwaga. Listy te były rzeczywiście pisane i oddane pewnej artystce teatru. Na podobne listy oczywiście uczciwa panna nie odpowiada, bo piszący pragnie tylko bałamucić, a o istotnem uczuciu niema mowy. List z wynurzeniem miłości powinien być podpisany istotnem nazwiskiem, a nie udanem. Nazwanie się Don Żuanem wskazuje, że piszący szuka tylko

chwilowej rozrywki. Don Żuan oznacza lekkiego płochego młodzieńca, pragnącego bałamucić kobiety. Istnieje podanie, że Don Żuan żył w Hiszpanii. Prowadził on bezbożne życie, a mianowicie uwodził kobiety. Zamordował on ojca broniącego swej córki. — Don Żuan był tak zuchwałym, że zaprosił na ucztę kamienny posąg, przedstawiający rzymskiego rycerza. Kamienny gość się stawiał, poczem Don Żuana czarci porwali do piekła. Na tem tle osnuł Mozart jedną z najpiękniejszych oper, jakie wogóle istnieją, a może i najpiękniejszą, pod napisem: „Don Żuan“.

Słuczona czara.

(Z Sully-Proudhomme.)

Gzarę tę, w której kwiatek werbeny
usycha,
Ktos potracił, uderzył cienki brząk kry-
ształu,
I pękł, lecz nikt nie słyszał, tak to brząkło
z cicha,
Tylko się teraz rysa przedłuża pomału,
Krań zatacza do koła, i woda ucieka,
Kwiat też zwiednie, gdy kropla ostatnia
wypłynie,
Jakkolwiek jeszcze tego nie widać z daleka,
Niech nikt czary nie rusza — spękane na-
czyynie!

* * *

Tak czasem w życiu droga potraci nas ręka,
Da cios w serce, choć lekko niby i nie-
znacznie,

Ale już potem dalej ono samo pęka,
A gdy mu kwiat miłości odumierać zacznie,
To chociaż oczy ludzkie nie widzieć nie
mogą,
Nosi w biednej swej głębi krwawiącą się
ranę;
I życiodajna siła uchodziła tą drogą:
Niechże serce nie ruszy nikt — serce
spękane!

Pieśń dziewczicy.

Pierś rycerza drą pociski,
Rolnikowi uschnie kłos,
Matka płacze u kołyski;
Najszczęśliwszy dziewie los!

Gdy ma igła jedwab plecie,
Chwil przyspiesza srebrny strzał;
Dzięki Panie, żeś kobiecie
Świątą miłość pracy dał.

Harfa moja wiarą dźwięczy,
Pióro szuka wiedzy bram;
Sztuki piękne! w waszej tęczy
Niech przymierze z niebem mam.

Wśród przyrody, jam królową,
Tron mój się nie lęka burz,
Gdy koronę mam lilijową
Mało dbam o berło róż.

Być pieszczotą w rodzin gronie,
Rajskiej strzechy kochać próg,
Mieć żar w sercu, piosnkę w łonie,
To mi tylko kazał Bóg.

Deotyma.



List,

opisujący dzieje z początku nieszczęśliwej miłości,
która się pomyślnie zakończyła.

Kochany Przyjacielu!

Tak dawno nie pisałem do Ciebie, że pewnie zwątpiłeś już o mej pamięci, — pamiętam ja przecie, a powodem mego milczenia były zdarzenia rodzinne, które mnie tak zajęły, że nie mogłem wziąć nawet pióra do ręki. Dziś, gdy już wszystkie ukończyły się pomyślnie, zabieram się do pogawędzenia z Tobą, a zarazem pragnę Cię obznajmić z owymi zdarzeniami, wiedząc jak serdecznie jesteś przywiązany do naszej rodziny: Siostra moja Halinka wyszła za mąż, ale w okolicznościach tak wyjątkowych, że one same nabawiły nas w początkach śmiertelnego niepokoju. Dziś dzięki Bogu wszystko złe minęło, może losy pozwolą jej cieszyć się stale szczęściem, którego jest tak godna, mało jednakże brakowało, aby to tkliwe serce nie zostało na zawsze złamanem. Pamiętasz pewnie Leona St. . . . naszego sąsiada. Otóż młody

i pełen nadziei ten człowiek, bywał u nas dość często i pomimo, iż nie starał się o to wcale, zajął głęboko serce Halinki. Młoda ta i piękna dusza, tak nie umiała ukrywać się ze swemi uczuciami, iż wkrótce poznaliśmy z łatwością, co się dzieje w jej serduszkach. Ojciec nasz, troskliwy o spokój i szczęście swych dzieci, zapytał Leona wtedy, w jakich bywa zamiarach i prosił go, aby, jeżeli nie ma zamiarów żadnych względem Haliny, zaprzestał swych odwiedzin. — Byłem przytomny tej rozmowie; nie uwierzysz, jak dziwnego doznałem wrażenia na widok zmiany, która zaszła w twarzy Leona.

Zbladł silnie i po chwilowem milczeniu drżącym głosem zaledwie zdolnym był wymówić, iż nie czuje się zupełnie winnym w tej sprawie; że nie starał się wcale o względy panny Haliny, pomimo . . . pomimo, że otrzymać jej rękę, byłoby dla niego niewysłowionem szczęściem, — ale nie pozostaje mu nic innego, jak usunąć się. . . . Ostatnie słowa wymówił z wielkim wysiłkiem. Zrozumiesz pewnie, jak nas zdziwiły podobne wyrazy. Znając prawość charakteru Leona, jego pozycję w świecie, nie mogliśmy zrozumieć, jaka przyczyna podyktowała mu podobną odpowiedź. Po długiem milczeniu wyznał nam wreszcie Leon, iż jest . . . żonatym; że nieszczęśliwy Leon związek zawarł w stolicy podczas akademickich studyów, z osobą ani cha-

rakterem, ani wychowaniem i wykształceniem nie odpowiadającą wymaganiom, jakie zwykle stawiamy żonom naszym; — że po krótkim z nią pożyciu, skoro minął szął pierwszy, spostrzegł niezadługo, jak fatalną popełnił pomyłkę, postępując wbrew woli, opierającej się temu związkowi rodziny, którą o ostatecznym swym kroku nawet nie zawiadomił, i pomimo całej siły i woli oraz poczucia swego obowiązku, nie mógł dłużej mieszkać pod jednym dachem z kobietą, której przytomność stała się mu nie do zniesienia. Spostrzegł przytem, że nie miłość, ale wyrachowanie tylko skłoniło ją do związku z nim i to spostrzeżenie zerwało ostatecznie ów związek, ale nie zerwało formalnie. — Po tem wyznaniu, którego wysłuchaliśmy z ojcem z prawdziwym współczuciem, szanując boleść i szczerość, z jaką Leon spowiadał się przed nami ze swego nierozważnego kroku, biorąc na siebie całą odpowiedzialność zań i oszczędzając ile możności żonę, nie pozostało nam nic innego, jak pożegnać go, — przemyслиwając tylko nad sposobem upozorowania przed Halinką jego usunięcia się. Po namyśle zgodziliśmy się na jedno, t. j. na wyjazd Leona za granicę, czego też Leon uchwycił się rzeczywiście, pragnąc zagłuszyć w sobie boleść rozłączenia. Tymczasem nie poszło nam tak łatwo, jak się здаwało. Halina przy pożegnaniu z Leonem okazywała mu tyle uczucia, bezwiednie wy-

lewającego się z serca, że drżeliśmy, aby i Leon nie zdradził się, i ubolewaliśmy również nad nim patrząc na męską stałość i heroiczny wysilek, z jakim starał się zapanować nad sobą. Po wyjeździe jego, dziewczątka nasze zaczęło tęsknić, mizernieć; straciło sen i apetyt; straciło dawniejszą wesołość; a gdy kilka miesięcy minęło a Leon nie dawał znaku życia; gdy my unikaliśmy wszelkiej o nim wzmianki, aby nie rozdrażnić uczucia, które usnąć pragnęliśmy — Halina jasnowidzeniem serca zaczęła się domyslać, że wyjazd Leona miał na celu usunięcie się od niej, a nieznając przyczyny, wiedzioną myślą, że tylko obojętność mogła go skłonić do tego kroku, popadła w taki smutek, że śmiało mogliśmy najzgubniejsze z niego snuć skutki. Po roku takiej zobopólnej męczarni, zjawił się nagle Leon. — Żona jego, o którą zawsze dowiadywał się, posyłając jej pieniądze na utrzymanie, zaziębiwszy się na jakiejś wesołej wycieczce, zmarła na tyfus, który właśnie panował w stolicy, uwalniając męża. Domyślisz się już teraz z łatwością, że ślub ów, o którym Ci pisałem na początku mego listu, z nikim innym nie został zawarty, tylko z Leonem. Spadł więc nam ciężar z piersi, ale nie zaraz, — bo Halinka, pod wpływem radości z ujżenia ukochanego, zachorowała ciężko i długi czas walczyła między życiem a śmiercią. O mało jej nie postradaliśmy. Zakończyło

się na ten raz szczęśliwie, ale nie zawsze się tak kończy. — Ileż to razy lekko-myślny postępek młodzieży w związku tak ważnym, który tak obmyślanym być powinien, naraża szczęście całych rodzin i byt ich podkopuje. Ileż to razy podobna Leonowej sytuacja gubi pełnego nadziei młodzieńca i łamie zdolność, łamie dwa serca, któreby, połączwszy się ze sobą, utworzyć mogłyby piękną harmonijną całość. A wreszcie i sam Leon ileż przecierpiał i pomimo wszystkiego wytłumaczonym być nie może, gdyż bądź co bądź zbiegł ze stanowiska i naraził żonę swoją pierwszą na fałszywą pozycję, której mogłaby uniknąć i z innym człowiekiem dla niej odpowiedniejszym, żyć szczęśliwie. Smutne to wszystko. Ale zbyt długo piszę, żegnam Cię więc mój drogi, dziękujemy Bogu, że żeniąc się, nie popełniliśmy tak fatalnej pomyłki.

Twój N.

Leśne dzwonki.

Gaj zieleni się wiosną, drobne dzwonki
w nim rosna,

Wśród paproci na wrzosiu posłaniu.

Rosną błado-lelijne, i wciąż dzwonić go-
towe

Na godzinki, o rannem świtanu.

Miła Boża pieśń cicha, która płynie z
kielicha,

Gdzie sam serce umieścił on na dnie.
I szmer dzwonka leśnego, co wzlatuje do
Niego,
Z tchnieniem wiatru darmo nie prze-
padnie.
Może pasterz tam który, oczy wzniesie
do góry,
Westchnie w duchu gorąco i szczerze,
Kiedy w leśnej ustroni, Boży kurztek za-
dzwoni,
Przed jutrzenką na ranne pacierze.
Może badacz przyrody, co wyłuszcza do-
wody
O natury potędzie tworzącej,
Mimowoli się wzruszy, gdy mu wpadnie
do duszy
Ten szmer cichy, o Stwórcy szepeący.
Może oko stęsknione spojrzy w kwiatu
koronę,
Gdzie drży, mieniać się, rosa niebieska,
I pociechy blask złoty, wśród tumanin
tęsknoty
Roznieci w nim współczucia ta łezka,
Bolesnego szmer dzwonka, prosta piosnka
skowronka,
Nieuczony dźwięk fletni pastuszej,
Prędej, niżli wymowa, co w mądrości
broni słowa,
Struny serca ludzkiego poruszy.

Julia Trepiłowska.

Korona czeska.

Sląsk stanowił pierwotnie główną część Polski, a takie miał wielkie znaczenie, że go zwano nawet Staropolską. Od roku 1173 posiadała śląska korona osobnych książąt, którzy hołdowali Polsce, później przyjęli zwierzchnictwo królów czeskich, a z Czechami przeszedł i Śląsk pod panowanie austriackie. Po dziś dzień zalicza się Śląsk do krain korony świętowaclawskiej, prawda, że tylko pod względem prawnohistorycznym, gdyż większa część Śląska należy do Prus, a część austriacka nie ma z Czechami żadnego związku. Zaznaczamy przecież, że pod względem narodowościowym tylko księstwo Opawskie zamieszkuje ludność czeska, a resztę Śląska zamieszkuje ludność polska, z wyjątkiem powiatu frydeckiego w księstwie Cieszyńskim.

Z powyższych uwag wynika, że korona czeska ma i dla Śląska znaczenie, dlatego podajemy jej opis. Już w IX-tym wieku używali książęta czescy korony. Pierwszym królem czeskim był Wratysław, koronowany 1086 roku. Starożytna korona czeska zaginęła, obecnie istniejącą kazał zrobić Karol IV., zwany „ojcem ojczyzny“. Zwana jest ta korona świętowaclawska, raz dlatego, że św. Wacław jest głównym patronem ziemi czeskiej, a powtóre i dla tej przyczyny, że spoczywa w kaplicy świę-

towaławskiej. Ostatnia koronacya czeska odbyła się w Pradze 1836 roku.

Korona czeska, wykonana z najczystszego złota, składa się z czterech lilii, które są spojone czterema złotymi obrączkami, a na szczycie znajduje się krzyż złoty. Ozdobiona jest 111 drogimi kamieniami. Waży przeszło cztery funty, a wartość jej wynosi przeszło 100 000 zł. pol. Józef II. kazał przenieść koronę czeską do Wiednia, przecież 1791 r. wróciła do Pragi. Z powodu najazdu Prusaków 1866 roku wywieziono ją znowu do Wiednia, skąd zwrócono ją 1866 roku.

Do klejnotów koronnych czeskich należą oprócz korony: berło, miecz, pochodzący od św. Wacława, jabłko koronacyjne i pierścień.

Eliszka Krasnohorska.

No najwięcej uzdolnionych autorek czeskich należy Eliszka Krasnohorska. Dla nas Polaków jest dlatego sympatyczną, ponieważ przekłada wiele z polskiego na czeskie. Największą jej zasługą, że przełożyła na czeskie najpiękniejszy polski poemat, t. j. „Pana Tadeusza.”

Eliszka uczęszczała w Pradze do szkoły prywatnej, w której wykład był po niemiecku. W dwunastym roku życia ukończyła już szkołę. Następnie sama

pilnie się starała, aby dopełnić wykształcenia. Ćwiczyła się mianowicie w muzyce, a to zamiłowanie obudziło w niej iskrę poetyczną. Zaczęła tworzyć piosenki, które się powszechnie podobały.

Jak poetka pięknie pisze, niech poświadczy wiersz: „O różach.“ Prosi ona, aby po śmierci nie kłaść na jej mogiłę zimnego kamienia, ale niech raczej otoczy ją gaj róż kwitnących, gdyż „chce mieć wesoło na grobie i wszystko naokół niej ma żyć i kwitnąć.“ W życiu nie spotkała poetka kamieni, choć ich leżało wiele na drodze życia, natomiast zbierała róże. „O ja za nikim,“ śpiewa Krasnohorska, „nie rzuciłam kamieniem, bo znam, jak to serce boli, gdy choć je tylko róża zrani. A choć mnie serce gorzko cisnęło, ciężąc jak kamień ku ziemi, choć nawet kwiaty goryczą mnie poiły, ja rzucałam tylko różami naokół.“

Umie też Eliszka przemawiać silnie, stanowczo. W zbiorze poezji pod napisem: „Ze Sumavy“ zaraz na wstępie odzywa się do Niemców, którzy gnębią od dawna Czechów, że prędzej góry szumawskie w piekło przepadną, zanim serca czeskie ułęką się Niemców, a prędzej te góry w niebiosach znikną, niżby Czesi swój język zamienili na niemiecki.

Od wielu lat wydaje Krasnohorska: „Żeńskie Listy“, pismo dla kobiet, wybornie redagowane. Pisuje także piękne powiastki

dla młodzieży, z tych najpiękniejsze: „Powiastka o wietrze“, przełożona na polskie przez J. Chociszewskiego. Podajemy wiersz Krasnohorskiej po polsku, który był zamieszczony w piśmie warszawskim „Bluszcz.“

Wiosna w sercu.

Wiosna góry opromienia,
Tęskne czucie budzi świat,
Piękno pragnie wyjść z więzienia,
Z pączka się wydiera kwiat.
Odmłodzone słońce grzeje,
W duszy zamęt budzi się,
Słodką boleść piersią chwieje,
Chcesz rozkwitać, serce me?

W wieńcu chmur zwyciężko sunie,
Pierwsza burza, błyska się;
Gdy na ziemię deszczem lunie,
Ziemia niebu uśmiech śle.
Młodą pierś rozrywa męka,
Żywot nowy pali się,
Tysiąc ciasnych węzłów pęka,
Kwitnij, kwitnij, serce me.

Nie łudź się!

Serce samotne! Nie łudź się nadzieją.
Że wrócą mary spłoszone;
Że, jak liść z wiosną, znów rozzielenieją;
Łzami tęsknoty zroszone.

Nie łudź się serce! Barwa się nie zmieni
Na kwiecie marzeń — raz zbladła,
Jak nie roziskrzy swych złotych promieni
Gwiazda, co z nieba już spadła!

Nie łudź się serce! W grobie wędną
kwiaty,

Zrodzone w życia zaraniu;
Ale się w bukiet odrodzą bogaty
Po ducha zmartwychwstaniu!

Ziemo rodzinna! Chciałem służyć tobie
Choć pieśnią, jak ptak na wiosnę;
I śmiałem marzyć, że na twoim grobie
Cyprysem żalu wzrosnę!

Nie łudź się serce! Zgasł życia kaganek,
A rój mych marzeń świetlany
Pierzchł, jak ów czarny z jaskółeczek
wianek

Z smętnego czoła Goplany.“

Fl. Niewiadomska.

Wierszyk ten nazwał słusznie A. Pług „prawdziwą perełką najczystszej poezyi“. Florentyna Niewiadomska zgasła przed kilku laty w Warszawie, w bardzo młodym wieku. Krótko przed zgonem napisała wiersz powyższy.

Rozumna rachuba

przez

J. K. Gregorowicza.



niedziele przed wieczorem z dworu
państwa X. wybiegła młoda dzie-
wuszka i szybko, jakby ją kto gonił,
przesunąwszy się przez podwórze, skiero-

wała się ku czworakowi dworskich ratai. W jednej z nich mieszkał Wojciech Frączak, ojciec Justysi, bardzo poczciwy i rozsądny człowiek, umiał nawet czytać i nieźle pisać, a gdy mu radzono, aby się starał o miejsce dozorca wiejskiego, zawsze odpowiadał:

„Dajcie mi święty pokój, czasem z wółami jak się uprą trudno poradzić, cóż dopiero z ludźmi.“

Kiedy Justysia już miała na kłance od drzwi rękę położyć, zatrzymała się, jakby nie miała śmiałości wejść do izby. Zarumieniona biegiem wyglądała jak jabłuszko czerwieniejące się pomiędzy gałązkami zielonemi. Przytem ustrojona była choć skromnie ale ponętnie, i jak kto spojrzał na jej buziaka przyozdobionego wianuszkiem świeżych kwiatów, na gorsecik czarny ściskający ją w pasie, na spodniczkę czerwoną otoczoną złotym galonem, to mimowoli pomyślał sobie: a to dziewczuszka czysta jagoda, co gwałtem do niej ciągną oczy.

„Dziedzic was coś potrzebuje i przysłał mnie. . . .“

„Mnie dziedzic, a to na co?“ zapytał Wojciech zdziwiony. Justysia nic nie odrzekła, tylko spuściła oczy w ziemię i zaczęła tasiemkę na palcu okręcać.

„Już ja miarkuje, odezwał się Wojciech, o co tu idzie, wy kobiety jak co w głowie ułożycie, tak nie ma z wami rady.“

Żona jego Wojciechowa gładząca w tej chwili włosy Justysi, westchnęła i zobaczywszy męża wybierającego się do dworu, rzekła niby do siebie.

„Wola dziedzica“

„Ale kiedy to nie dziedzica wola, tylko wasza zachciewka. Dziedzic wyraźnie mi powiedział, że Justysi zupełnie nie namawia, aby z córką jego jechała do miasta. . .

„Tak, to prawda, Wojciechowa przerwała, ale panienka Marynia dawno mówiła, że jak pójdzie za mąż, to Justysię weźmie ze sobą.“

„Zdarzyło się jej wyjść do miasta, to i cóż takiego? Przecież miasto zębów nie ma, to jej nie ugryzie . . .“

„Zębów co prawda to nie ma, ale ma oczy bardzo ciekawe, szczególnie dla młodych dziewczuch, odrzekł Wojciech pas zapinając. Justysia od małości chowała się prawie z panienką w uczciwości i bojaźni boskiej, ale jest młoda, żywą i w głowie u niej tylko strój i nowa szata, a tu ani szata, choćby odświętna, chleba nie da, tylko praca i oszczędność. My w służbie, a również ludzie mają nas za bogaczów, bo przy Opatrzności Boskiej i ładzie domowym na niczem nam nie zbywa. Jak było cztery, to się trzy wydało a czwarty schował i tak staraliśmy się, żeby te trzy na wszystko wystarczyły.

Justysia inaczej się obrządza, a to źle, a w mieście jeszcze będzie gorzej.

Kiedy Wojciech poszedł do dworu, Justysia powiedziała matce, że dziedzic ma rzeczywiście pomówić z ojcem, aby pozwolił jej pojechać z panienką, co przed kilku dopiero dniami wyszła za mąż za pana Z., urzędnika w pobliskiem większem mieście.

„Moja matusiu, dodała w końcu, co mi szkodzi spróbować? Jak mi się sprzykrzy, to wrócę do was.“

„A może ci się zdarzy jaki pocziwy rzemieślnik.“

Justysia zarumieniała się, matkę ucałowała w rękę i pobiegła za ojcem.

Wojciech choć niechętnie, po rozmowie z dziedzicem, pozwolił wreszcie na odjazd. Pocieszało go tylko to, że młoda jej pani przyrzekła jak najtroskliwszą baczność na Justysię. Wieczorem jednak po wyjeździe i udzieleniu dziecku błogosławieństwa, był chmurny cały wieczór, a matka często łzy ocierała i smutnie wzdychała. Biedacy, tęsknili już za jedynaczką.

Tymczasem Justysia w mieście po kilku dniach już była jakby w swojej rodzinnej wiosce. Myślała często o rodzicach, ale uważała także, że gdy inne podobne jak ona pokojówki wszyscy nazywali pannami, jej zawsze nadawano imię dziewczki.

„Strój to, myślała sobie, tak mnie różni od drugich, trzeba go zmienić.“

Wiele więc razy pojechała na wieś, lub rodzice ją w mieście nawiedzili, uważano, że w stroju jej zawsze coś nowego przybyło: to jakiś kaftanik, to kołnierzyki i mankiety, to buciki na korkach, to wreszcie sukienka do ziemi dochodząca. Matka ze łzami radości przyglądała się tym nieznanym sobie ozdobom, a Wojciech w milezeniu i zadumie i machnąwszy ręką, naciskał czapkę na głowę.

I tak zeszło cały rok.

Do kuferka przybywał coraz nowy sprawunek, ale do woreczka ani jeden grosik, a nawet zasluga kwartalna nie wystarczała i na drugie musiała brać zaliczenia. W kamienicy, w której z państwem mieszkała, chwalono ją powszechnie, ale z pomiędzy wszystkich jeden tylko Franciszek Stasiak, czeladnik stolarski, co największe łaski u Justysi posiadał. I on ją także szczególnie sobie spodobał, w każde święto schodził się z nią w kościele, potem odprowadzał do domu, a wieczorem zawsze do niej przychodził.

Państwo, dowiedziawszy się, że to bardzo porządny młodzieniec, że bywanie jego jest nie dla próżnej zabawki, ale dla blizkiego poznania Justysi, aby kiedyś jako narzeczoną mógł ją zaprowadzić do ołtarza, nie wzbraniali tych odwiedzin.

Na początku karnawału Justysia wraz z Franciszkiem została zaproszoną na wesele jednej z swych przyjaciółek.

Państwo dali jej na to pozwolenie, ale zastrzegli, żeby ojciec Franciszka przyjął nad nią opiekę, bo to bardzo nieprzyzwyczajcie, aby sami młodzi poza domem na zabawie się znajdowali.

Justysia więc sprawiła sobie nową sukienkę, buciki, pończochy cienkie, kapelusz, nawet rękawiczki i wachlarz, a choć na to użyła całą do Wielkanocy zasługę i jeszcze się nieźle zadłużyła, to jak się ustroiła, czekając na Franciszka i jego ojca, i potem przejrzała w lustrze, sama się do siebie uśmiechnęła, nie żałując zrobionego wydatku.

Wtem zapukano do drzwi. Justysia uśmiechnięta otworzyła z klucza i krzyknęła z zadziwienia. W progu ukazał się ojciec z matką i obaj Stasiakowie.

„A to niespodzianka!“ zawołała Justysia, całując ręce rodziców i witając ukłonem Stasiaków.

„Ach! jakeś ty ślicznie wystrojona, odezwała się matka składając ręce z podziwu. Pokaż mi się przecie, niech ci się dobrze przypatrzę.“

„A co: nie prawda mateczko, odrzekła Justysia i zgrabnie obróciła się w koło. Patrz matko, wszystko nowe, prosto z igły.“

„W całym tym ruchu tyle było szyku, że nawet sam Wojciech uśmiechnął się zadowolniony.“

W prędcie jednak z westchnieniem rzekł:

„Ale to wszystko moje dziecko musi wiele kosztować.“

„No zapewne mój Ojcie, ale nie żał mi wydatku, bo w mieście to inaczej jak na wsi.“

„A tak, wtrącił Franciszek, poprawiając czuba na głowie i wydobywając zegarek z kamizelki, na wsi grosz więcej znaczy, niż w mieście złotówka.“

W mowie tej tego młodego rzemieślnika, pomimo powściągliwości, przebijała się taka szorstkość i lekceważenie, że ojciec jego Jan coś szepnął do syna i usiadł na kufrze w kąciu. Wojciech zrozumiał to junactwo młodego stolarza, spojrzał na swój kożuch, prosty ale ciepły, na swoją żonę skromnie ubraną, na elegancyę córki, surdut Franciszka i jego wykrochmalony kołnierzyk, potem zmarszczył brwi i zmierzwszy go od stóp do głowy, zapytał:

„A gdzieżeś to acpan takiego rozumu nabrał, co cię nauczył tak złotówki poniewierać?“

„Ojciec,“ szepnęła Wojciechowa do męża, „zważ przecie, że to kawaler naszej Justysi.“

„Choćby był i jej mężem,“ odrzekł Wojciech, „to niech zna, co komu przynależy.“

Franciszek chciał coś odpowiedzieć, ale go powstrzymał ojciec Jan, który pragnął

wszystko obrócić w żart, wydobył tabakierkę i zbliżywszy się do Wojciecha, rzekł:

„Przebaczenie panie Wojciechu młodemu. Lata u nich krótkie, to i rozum krótki, ot zażyjmy tabaczki, panna Justysia przyniesie nam piwa, to sobie pogadamy, jak Bóg przykazał.“

„O poczęstunkach fraszka, nie dla niego przyjechałem do miasta, tylko żeby zobaczyć moje dziecko i nacieszyć się z niem, nagadać“

„Mój robaczek kochany,“ mruknęła Wojciechowa i przycisnęła do piersi.

„Ale ten wydatek na stroje,“ mówił dalej Wojciech, „nie podoba mi się: ze złego nigdy dobre nie wyrośnie.“

„To trudno, mój Wojciechu,“ odezwał się Jan, „w mieście wszystko inaczej, każda rzecz droższa, ale z wyrachowaniem to można przyzwolicie żyć“

„I zadłużać się na różne kredyty,“ dołożył Wojciech.

„Ej! Bogu dzięki,“ odezwał się Jan, „nikomu nie jestem winien. Prawda, co się zarobi, to się i wyda, ale nikt mnie nie szarpie i nie woła: oddaj, co pożyczyleś!“

„A syn wasz Franciszek?“ zapytał Wojciech.

Wojciechowa znowu go pociągnęła za sukmanę na kożuch włożoną, ale że za grubo był ubrany, więc tego nie poczuł.

Jan na zrobione zapytanie zamyślił się, odehrząknął i dopiero po chwili odrzekł:

„Mój syn Franciszek zwyczajnie jak młody, porządny, uczciwy chłopak, ale często lubi więcej, jak ma wydać.“

„Hm! hm!“ mruknął Wojciech, „a ty Justysio dużo ludziom jesteś winna?“

„Tylko krawczydni od roboty sukienki i szewcowi za buciki, ale to wszystko zapłacę co do grosiczka,“ odrzekła Justysia cokolwiek zmieszana.

„To zły rachunek, moje dziecko,“ odrzekł Wojciech. „Ja prosty człowiek, w szkole nie byłem . . .“

„O ja byłem,“ przerwał Franciszek, „i niejednej rzeczy się nauczyłem.“

„A nauczyłeś się też acpan rachować?“ zapytał Wojciech.

„Ba! jeszczeby też.“

„To powiedzże mi acpan, wiele to jest dwa razy po dwa?“

„Takiejbym rzeczy jeszcze nie wiedział?“ odrzekł Franciszek poprawiając czuba. „Naturalnie że cztery.“

„Nie, u acpana i u mojej córki to pięć, bo jak cztery macie to pięć wydajecie, u ojca acpana, pana Jana to cztery, bo ile ma, tyle wyda, a u mnie dwa razy po dwa to trzy, bo jak mam cztery, to trzy wydaję, a jeden schowam, żeby ratunku w jakim nieszczęściu nigdy nie brakło.“

„A bodaj was Bóg kochał!“ zawołał Jan powstając. „Toście nam dopiero ra-

bnęli prawdę. Niechże was uściskam, mój Wojciechu.“

„Ojciec, upamiętaj się!“ szepnęła Wojciechowa, „nie godzi się tak własne dziecko przed obcymi osławiać.“

„Owszem, godzi się,“ odrzekł Wojciech, „bo słyszałem, że podobno acpan, panie Franciszku, zachodzisz w zaloty do Justysi, to chciałbym, abyś wiedział co wziąć pragniesz. Justysia dobra dziewczyna, ale przy takim rządzie, jak wy się rzadzicie, zginiecie i“

Dalszą mowę Wojciecha przerwał głośny płacz Justysi i zérawanie się Wojciechowej, która przybiegłszy do męża, zatkła mu usta ręką, wołając:

„To ty ojciec i własne dziecko szkalujesz? A ty bezbożniku! zaraz mi zamilkni*j*“

Wojciech umilkł, spojrział na żonę z litością, co zobaczywszy Jan, odezwał się:

„Dajcie pokój Wojciechowa, to nie szkalunek, ale rozumna nagana. Wy macie córkę, a ja syna, i oboje jakoś mają się ku sobie, ale i Wojciech z tego nie rad i ja także i obadwa z jednakiej przyczyny. Samo kochanie chleba nie da, a w głodzie i chłodzie to miłość tak niknie, jak para z oddechu wśród mrozu. Otóż widzicie, ja sobie myślę: Justysia dobra dziewczyna, ale na panią patrzy, mój Franuś napracuje się a na wydatki nie wystarczy. Wojciech znowu powiada sobie, Franuś dobry

rzemieślnik i porządny chłopak, ale nie umie rachować, dziś ma długi, choć sam jest, cóż się dopiero stanie, gdy trzeba będzie na dwoje lub więcej pracować. . . .“

„Tak, tak,“ przerwał Wojciech, „głodne małżeństwo to i mucha pokłóci.“

„Ej! pomału toby się ustatkowali,“ odezwała się Wojciechowa, „i jakośby to było.“

„Źle mówisz, moje dziecko, bo tam, gdzie idzie o szczęście dziecka, to trzeba wszystko na pewno robić o ile można. Jak przycież dobra, to i budynek stoi i nie chwieje się, choć w niego wichur i burza uderzy. W ożenieniu jest tą przycieszą dobry porządek w głowie, a kto tak się rządzi groszem jak Justysia i Francek, czy go mają?“

„Toć przecie grosz marnują nie na hulatyki, ale na przystrojenie, a to młodym wybaczyć można.“

„Ja się też o to nie gniewam, moje dziecko, że się lubią ubrać, ale o to, że dla ubrania, co mają wydać za miesiąc, to dziś wydają. Dlatego pozwolenia do żenienia nie dam prędzej, aż za rok, i jeżeli przez ten czas tak się będą rządzić, żeby z czterech nie trzy wydali ale dwa, bo za pożyczane lub na kredyt żenić się nie pozwolę.“

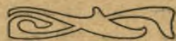
Kiedy po godzinnej późnej pogadance miano już pojsć na wesele i matka opatrzyła Justysię czy ubranie na niej znaj-

duje się w porządku, Franuś nieśmiało zbliżył się do Wojciecha i całując go w rękę, rzekł:

„Przebaczcie panie Wojciechu... przyrzekam, że napomnienia waszego nie zapomnę... byleście tylko mnie nie odepchnęli od siebie...“

Proście tak szczerzej a uczciwej któż odmówi? któryż ojciec odepchnie młodego, gdy z takim poszanowaniem powiada, że pragnie zostać jego zięciem. Wojciech też ani odmówił, ani odepchnął. Wojciechowa aż się rozplakała, a Jan ucałował się z Wojciechem szczerze, pocziwie, jak teść z teściem przyszłych państwa młodych, dodając, że takie rady i nauki, wpojone w córkę, więcej znaczą jak najbogatsze wiano.

Zabawa weselna odbyła się jak najprzyjemniej, a w rok potem już Justysia z Franciszkiem klęczeli u stóp ołtarza, przyjmując błogosławieństwo Kościoła na nierozzerwalne związki całego życia. Została więc panią stolarką, ale panią nie z imienia tylko, bo wszystko, na co spojrzeli w domu, było rzeczywiście ich własnością. Na żadnym sprzeczku nie ciążył ani grosik długu, były nawet zapasy. Rozumna oszczędność wszystko to stworzyła, a ta cuda tworzy, tylko nie każdy chce się nią rządzić.



Nie można się żenić.

Kocham ciebie, boś jest piękną,
Boś jak dziecko jest wesoła;
Ale cóż ja z tobą pocznę,
Gdym ja goły i ty goła.

Nie patrz na mnie czułym wzrokiem,
Nie okrywaj lic żalobą,
Bo mnie przez myśl to nie przejdzie,
Żebym się miał żenić z tobą.

Ja, jak kiedy się ożenie,
Pędzić żywot chcę wygodny,
Po cóż nas więc gołych łączyć?
Przecież teraz raj nie modny.

Kocham ciebie, boś jest piękną,
Boś jak dziecko jest wesoła;
Ale cóż ja z tobą pocznę,
Gdym ja goły i ty goła.

Chciał się otruć z miłości i co potem nastąpiło.

Szesnastoletni kupeczyk Feliks Pieprzyński kochał się na zabój w pannie Leokadyi, córce pryncypała, która już skończyła 24. wiosnę życia. Feliks napisał list z wynurzeniem miłości i oddał panie Leokadyi. Ta oddała list ojcu, który za to natarł amantowi uszu i powiedział

mu słowa prawdy. Feliks tak sobie wziął te uwagi do serca, że postanowił sobie odebrać życie. Poszedł zatem do apteki i zażądał trucizny. Następnie napisał list pożegnalny do panny Leokadyi i połknął truciznę. Niezadługo uczuł skutek. Wtedy zaczął się żegnać uroczyście z życiem, z panną Leokadyą, a wtem krzyknął naraz: „A cóż to za truciznę dał mi ten niecnota aptekarz.“ Pędzi jak oparzony w podwórze, a tu rozlegają się zewsząd chichoty. Aptekarz dał mu zamiast trucizny soli glauber-skiej i uwiadomił o tem kupca, dlatego koledzy z handlu czekali na niego w podwórzu. Lekarstwo było skuteczne, gdyż Feliks wyleczył się z miłości. Sens moralny stąd taki, że jeżeli młodzik pokocha starszą osobę, co się czasem mimowoli zdarza, niechże tę tajemnicę zachowa dla siebie. Wogóle jeżeli miłość nie może się skończyć małżeństwem, najlepiej milczeć.

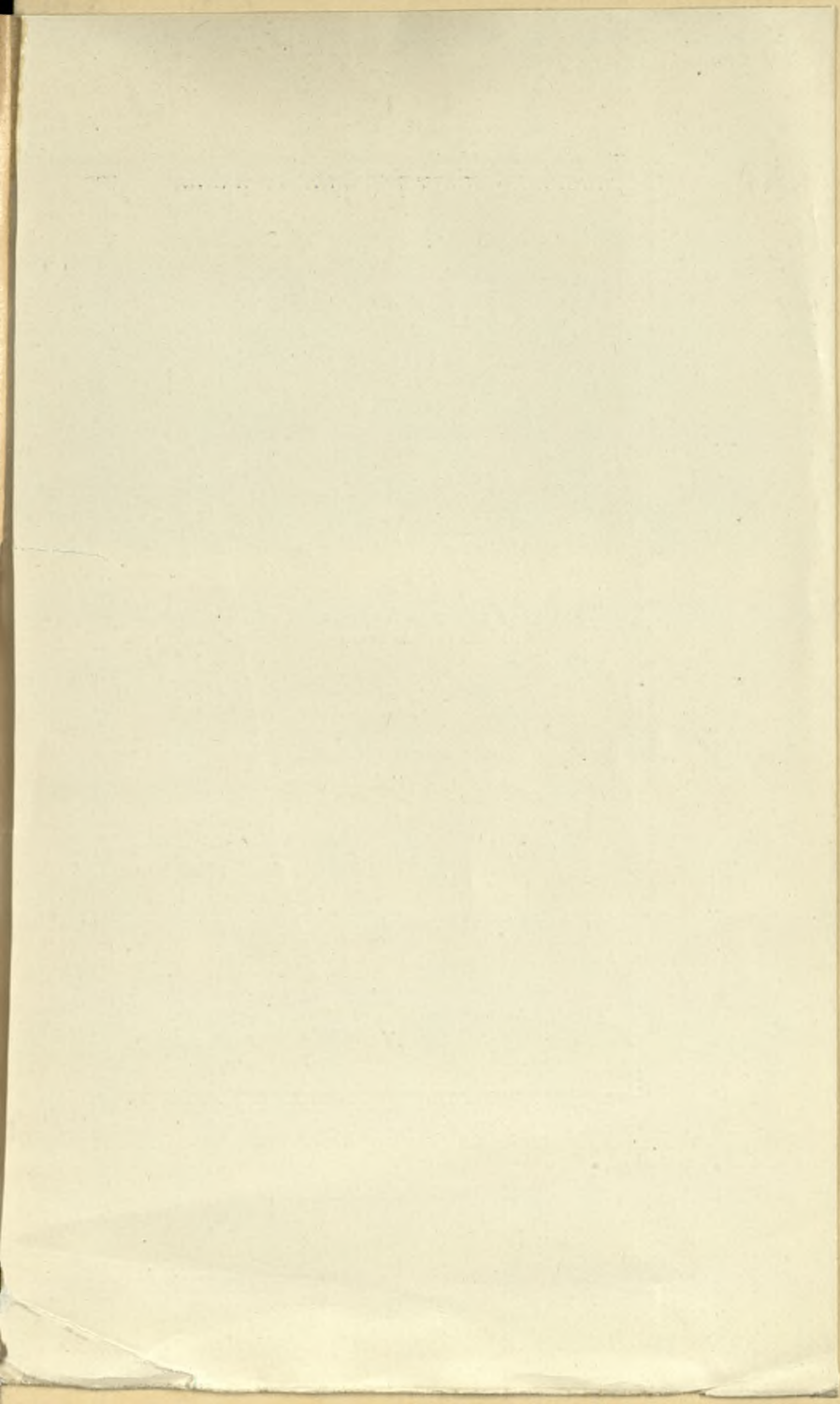


SPIS RZECZY.

	Strona
Przedmowa	3
Paproć	7
Inne podanie o paproci	8
Lilia	10
Kwiat paproci	11
Lilie wodne	13
Sawitri (Powiastka indyjska z »Mahabaraty«) .	16
Tutaj na ziemi (Z Sully-Prudhomme'a) . . .	30
Do jaskółki	31
Lilia — paproć	32
O Baśce, co jej krowę zajęli	44
Heine o Polkach	46
Pamiętaj o mnie	48
Mgły poranne	49
Czaty	50
Łamigłówka	52
Janek i Zosia	53
Rodzina	57
Silna miłość zwycięża wszelkie przeszkody .	57
Prawdziwa miłość	59
Wyschły kwiatek	65
Dwa listy Don Żuana	65

	Strona
Stłuczona czara (Z Sully-Proudhomme) . . .	69
Pieśń dziewicy	70
List opisujący dzieje z początku nieszczęśliwej miłości, która się pomyślnie zakończyła .	71
Leśne dzwonki	75
Korona czeska	77
Eliszka Krasnohorska	78
Nie łudź się	80
Rozumna rachuba przez J. K. Gregorowicza .	81
Nie można się żenić	93
Chciał się otruć z miłości i co potem nastąpiło	93





C 034805

I

Ks

E. FEITZINGERA

W CIESZYNIE

poleca następujące książki:

Niezapominajki. Wybór najlepszych wierszy do imiennika 40 h.

Polski śpiewnik czyli Zbiór arii i dumek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych i t. d. Część I. i II. po K 1.—.

Dokładna rozmowa kwiatami poświęcona miłości i przyjaźni 40 h.

Najnowszy sekretarz zakochanych z dodatkiem pieśni miłosnych, wierszy do imienników i t. d. K 1.20.

Śmiech. Zbiór fraszek, anegdot i humorystycznych opowiadań w trzech częściach zamiast K 3.30 tylko K 2.—.

Śpiewniczek kieszonkowy. Najulubiejsze piosnki, arie, dumki, krakowiaki, kujawiaki, marsze i t. d. 80 h.

Starosta weselny czyli zbiór mów używanych przy weselach 50 h.

Toast polski, wierszem i prozą, czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju K 1.30.

Zbiór dobranych powinszowań wierszem i prozą 70 h.

Flirt towarzyski czyli 1500 pytań i odpowiedzi na 50 kartkach K 1.—.

„Flirt“, zabawna gra towarzyska, zarazem podręcznik do tajemnej korespondencji liczbami K 1.05.